

BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO
WYCHODZI 10, 20 i 30 KAŻDEGO MIESIĄCA.

REDAKTOR I WYDAWCA: IGNACY PŁĄŻEWSKI

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 31-A, TEL. 516-88.

PRENUMERATA WYNOŚI:

Kwartalnie (9 tomów).	4	zł. 70 gr.
Półrocznie (18 ").	9	" 40 "
Rocznie (36 ").	1	" 50 "

z przesyłką pocztową.

Cena egzemplarza pojedynczego 80 gr.

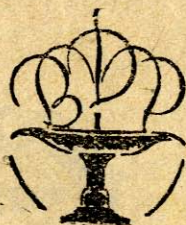
Rok II
TOM XLVIII

30

ANTONI LANGE

RÓŻA POLNA

NOWELE I FANTAZJE



BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO

1

9

2

6



77103

PRZEDMOWA.

Antoni Lange, ten cyzelator i miłośnik sztuki słowa poetyckiego, wytworny znawca literatur obcych, których arcydzieła przyswoił nam w mistrzowskich przekładach, nieustrudzony poszukiwacz prawdy w swych filozoficznych poetyckich rozważaniach, zdaje się pisać czasem nowele jakby dla wypoczynku i rozrywki. Zstępuje wtedy w życie realne i codzienne — a czyni to z ujmującym wdziękiem i jakby uśmiechem lekkiej ironji. Przesuwa wówczas przed nami różne życiowe i miłosne zawikłania, a pomimo, że autor przemawia czasem w pierwszej osobie, znać, że stoi jakby ponad tem wszystkim, że jest obserwatorem pełnym finezji, lecz nie zainteresowanym bezpośrednio tym splotem zawikłań i gotów każdej chwili wrócić na swe abstrakcyjne wyżyny poetyckie i filozoficzne. I w tem leży specjalny urok jego nowel.

Nowela tytułowa i najszerzej rozwinięta tchnie czarem młodości, świeżości i wiosny budzącej się, przedziwnie kobiecej psychologii, jakeimi owiana jest przemiła bohaterka. Doskonale zaobserwowana, pulsująca życiem, niosąca ze sobą tchnienie zdrowej i czystej młodości, gdzieś w kresowym, starym dworze — spędzonej, bezwiednie zalotna i w porywach swych żywiołowa, jest tak żywą i wyrazistą, że zdaje

się nam wszystkim dobrze znającą, a nie powieściową fikcją. Autor opowiada o niej z uśmiechem napóły rozrzuwnionym, a napóły rozbawionym. Nie bierze jej na serjo, a ulega sam jej czarowi. Wśród innych nowel „Schadzka” odznacza się tym samym lekkim i ujmującym uśmiechem i tą nieco niepokojącą, ukrytą ironją, która cechuje autora „Róży Polnej”.

„Melodramat” dźwięczy już inną nutą, tragiczną, dotykającą zawilego problemu fatum, bez woli i winy ciężącego na ludzkich losach. W „Testamencie” uśmiech ironiczny staje się niemal zjadliwym, zaprawnym żółcią i goryczą, aby w „Pojednaniu” stać się znowu dobrodusznym i lekko kpiarskim.

Antoni Lange należy do najbardziej kulturalnych i najwszechstronniej wykształconych pisarzy naszych. Jestto umysł nawskroś refleksyjny, żywiołowość i szczerłość porywu nie leżą na linii jego talentu. Lecz miłość, jaką żywi dla piękna sztuki pisarskiej, pietyzm, z jakim odnosi się ku niej, głębokie zrozumienie przejawów tego piękna, wszędzie gdzie się objawia, u wszystkich ras i narodów — zapewniają mu w literaturze naszej miejsce zarazem odrębne i zaszczytne.

REDAKCJA.

RÓŻA POLNA

RÓŻA POLNA.

I.

Młoda Elfyda wybiegła w ranek,
By ślubny wieniec uszczknąć na skroń.

Tak miłym i dźwięcznym głosem śpiewała panienska, siedząca na oknie w salonie cioci swojej, pani Markskiej, przez pół odwrócona na pokój, a przed pół na ogród za oknem.

Okno wychodziło na słońcem oblany, niewielki ogródek, który jednakże w mieście mógł uchodzić za dość obszerny. Wprost okna szła w małym oddaleniu główna aleja ogrodu, wysadzona dwoma szeregami czerwonych, ciemno-fioletowych i białych malw, które się kołysały od powiewów zefiru i wydawały się zdala, jak procesja dziewcząt w kolorowych sukniach. Nad tą barwistą linią stały wysmukłe głogi i akacje, kwiatem różowym i biało złotym obsypane, a w dalszej części trawnika wiśnie i jabłonki, z których kwiat wiosenny już oblatywał; wreszcie, jakby na straży, na czterech krańcach ogrodu — stały dwa kasztany i dwie topole nadwiślańskie, połączone linią kunsztownie wyciętych grabów. Ogród huczał od wrzawy pszczół, bąków i chrabąszczy, i świergotu pliszek, pośmieciuch i wróbli.

Całe to życie ogrodu, pełnego dziewanny, sło-

neczników i maku, gdzie parę krzaków róż i fantazyjnych ostów stanowiło niby wytwór kultury wyższej — całe to życie nadawało jakiś wiejski charakter temu miłemu ustroniu, w którym przebywałem.

Był to salonik dość obszerny o starym umeblowaniu z lat pięćdziesiątych lub sześćdziesiątych; o sprzętach mahoniowych, krytych czerwoną materją; w kącie stała serwantka, pełna różnych osobliwych przedmiotów z porcelany i szkła, a obok niej stary, długi fortepian; stół duży, pokryty ciężkim dywanem — stał przed kanapą, a na nim stare albumy i kilka nigdy nie czytanych książek, w edycjach luksusowych. Pod zwierciadłem, pochyło zawieszonym, konsola z kandelabrami, a wśród nich figurki porcelanowe: pasterze i pasterki. Pod piecem stało pudło, w którym świeżo pomieszczono dwa parotygodniowe szczeniaki.

W chwili, o której mówię — siedziała w saloniku pani domu, p. Marska, z małym, czarnym kotkiem na ręku, jej towarzysząca, p. Eliza, nauczycielka Francuzka, wreszcie na oknie siedziała owa młoda, śpiewająca panienska.

Spoglądała ona przez pół w ogród, uważając, jak słońce powoli płynie z ogrodu do salonu; przez pół zaś zwrócona była do nas; buzia jej się nie zamykała, i trzeba przyznać, była to panienska bardzo wymowna i rozmowna.

Zaczynała rok dwudziesty i miała figlarne, iskrzące się niebieskie oczy i nad wyraz różowe, świeże, półwilgotne wargi, a za niemi białe, jak perły, zdrowe ząbki, które przy ciągłym śmiechu nieustannie nam pokazywała; przy uśmiechu też powstawały dwa czarowne dołeczki w kącikach ust na biało-różowej, świeżej, jak wiśnia, twarzy. Niebieskawe żyłki snuły się koło szyi, a złote, bujne, niepokorne włosy

dowolnie się wily koło czoła, koło skroni, koło uszu... W tych włosach było coś anarchicznego.

To cudowne zjawisko w kretonowej bluzce lila i w sukni barwy *chamois*, w tualecie bardzo prostej i niewyszukanej, siedziała na oknie, założywszy ręce po napoleońsku i kołysząc nóżkami, aż się w słońcu jarzyły jej czarnozłote pantofelki i migły białe, ażurowe pończoszki.

Ciocia Marska siedziała koło kanapy na fotelu pod oknem i w zachwycie patrzyła na dziewczynę, a panna Eliza nalewała czarną kawę w filiżanki.

Z panienką poznałem się niedawno, gdyż dopiero parę tygodni temu przyjechała do Warszawy wraz ze swoim bratem, studentem prawa, i zamieszkała u ciotki, którą odwiedzałem od czasu do czasu.

Osóbka ta, średniego wzrostu, ale zbudowana tęgo i postawnie, patrzyła na mnie zabawnie wyzywającym wzrokiem i, lekko z białoruska przeciągając, tak mi opowiadała:

— Tak, proszę pana, mam na imię Elfryda. To bardzo śmieszne imię — romansowe. Ale mam takie imię przez mamę, a nawet przez tatusia, bo tatus właśnie tak zrobił, jak mama kazała. A to było tak, że kiedy się mój tatus z mamą ożenił, to bardzo się kochali, a raz mama śpiewała tę samą pieśń, co ja, bo ja tę pieśń bardzo lubię.

Młoda Elfryda wybiegła w ranek,
By ślubny wieniec uszczknąć na skroń...
Tam ją w dolinie czekał kochanek,
I w takie słowa przemówił doń:
Edgarem jestem, koronę noszę!
Powiedz, Elfrydo, czy kochasz mnie?

To bardzo miła śpiewka — i to uszczknąć ogromnie mi się podoba. Ale nie o tem chcę mówić. Kiedy mama tak parę zwrotek zaśpiewała, mówi do

tatusia: — „Janku, jak będziemy mieli córkę, to ją nazwiemy Elfrydą!” — Ale ojczuś strasznie się rozgniewał: — „Niech Bóg broni — zawołał — to jakieś imię z teatru, z opery! Wolę Magdę albo Baśkę!” — a mamusia na to: — „Nie, nie! musi być Elfryda!” — I tak się długo sprzeczali, aż na koniec tatusz zawołał: — „Wolę wcale nie mieć córki, niż żeby się nazywała Elfryda!” — Tak powiedział ojczuś w złą godzinę, a ja się bardzo tem zmartwiłam i nie chciałam się urodzić! Aż trzy lata minęło — bardzo smutnie — i raz tatusz mamę pocałował w rękę — i tak powiada: — No, niech już będzie Elfryda, byleśmy mieli dziecko. Więc, kiedy ojczuś tak powiedział, jak mama kazała, dopiero wtedy się urodziłam — i tatusz mnie nazwał Elfrydą, ale zawsze śmiał się ze mnie: — „ty, figura z Fra-Diavola!” — Ale mamusia była zadowolona, bo postawiła na swoim... Bo mamusia jest trochę uparta, nawet bardzo uparta! Śliczna kobieta, żeby pan ją znał, toby się pan w niej zakochał na śmierć. Mamusia bardzo a bardzo ojca kocha, ale jak chce co zrobić, to napewno zrobi, żeby tam tatusz nie wiem jak długo mówił: — „nie i nie!” — Tak to, panie, dostałam takie imię z opery, ale naprawdę to panu powiem, że ja jestem Joasia, a tamto Elfryda, to tylko w oficjalnych *bumagach*...

Ciocia patrzyła na dziewczynę okiem, pełnem miłości. Była to miła staruszka, niegdyś pewnie bardzo piękna osoba; przed piętnastu laty utraciła młodocianą córkę i całą swoją miłość przelała na Elfrydę.

— Jak ta lalczka szczebiocze — mówiła. — Zdaje mi się zawsze, że to małe dziecko, a przecież ma lat dziewiętnaście, niby to naiwna, ale bardzo mądre stworzenie i serce złote! Roztrzepana ogromnie, ale uczyła się doskonale i skończyła pensję w Rydze z nagrodą. Tu się zamierza dalej kształcić.

— Ale co też ciocia mówi! Nie mam wcale dziewiętnastu lat, tylko dwadzieścia i nawet jeszcze mieszając — i wcale nie jestem naiwna, bo mam już dużo doświadczenia, i wcale nie mam złotego serca, bo najlepiej to chciałabym być, jak lady Makbet albo Lukrecja Borgia! Ale teraz inne czasy: trzeba się uczyć, i właśnie przyjechałam tu na latający uniwersytet, bo kołam naukę i chciałabym umieć wszystko od a do zet. Stasiék zapisał się na prawo; będzie adwokatem, ale teraz mówi, że się głównie uczy hulać. Ach, jak ja chciałabym hulać! jak ja chciałabym być chłopcem! To wielka niesprawiedliwość, że dziewczyna nie może się zmienić w chłopca! I cóż z tego, że ja się nauczę biologji, psychologji, fizjologji, antropologji, socjologji, ekonomji, malarstwa, rzeźby, muzyki, literatury, geologji, statystyki i tego wszystkiego...

— O Boże! — zawołałam — tego wszystkiego chce się pani nauczyć?

— Rozumie się!

— Co za genjusz! — mówiła ciocia.

— Rozumie się, i jeszcze wielu innych rzeczy: filozofji, metafizyki, trygonometrii, chemji, fizyki, mechaniki, i tańca, i gimnastyki!... I, proszę pana, poco mi ta cała nauka, jeżeli mi niewolno iść samej do teatru, do kawiarni, ani do kabaretu! Cóż to? niewolno mi być samodzielną kobietą? Jeżeli chcę się nauczyć tego wszystkiego, to właśnie, żeby być samodzielną kobietą! Pan wcale nie wie, jaka ze mnie anarchistka! Ja cały świat przewrócę do góry nogami i będę żyła zupełnie inaczej... Ja zostanę prostytutką!...

— Co też ty wygadujesz, Lalu, na miłość Boga! — zawołała przerażona ciocia.

— O co wam idzie? czego się ciocia gniewa? czyż ja powiedziałam co złego?

— Ależ, dziecko, ta prosty...

— No, właśnie! Prostytutka: kobieta prosta, szczerza, prawdziwa, naturalna i bez ceregieli...

— *Mais elle ne comprend pas ce qu'elle parle*!)— przerwała panna Eliza, która, choć nie mówiła po polsku, ale wszystko rozumiała.

— Czyż powiedziałam jakie głupstwo? Chcę być kobietą bez ceregeli i bez konwenansu... i będę sama chodziła do teatru i do kawiarni. Nawet bez panny Elizy, i bez cici, i bez Staśka... Tylko chcę, żeby mnie kiedy Stasiak zaprowadził na jakie pijaństwo, żeby tak się zabawić po kawalersku... Palić papierosy umiem i piję koniak, jak grenadjer!

Słuchałem tej gawędy z zaciekawieniem, obserwując z szczególną osobkę, na którą spoglądałem z najwyższą sympatją. Panna Eliza dała Elfrydzie filiżankę kawy i ciastko kremowe, żeby jej „dzióbek zatkać”. Gdyż wraz z cicią dystygowana ochmi-strzyni była pełna obawy, co powie nieobliczalna Elfryda. Panienska ze smakiem zjadła ciasteczko i wypła haustem czarną kawę, już zimną, przyczem cudownie w górę podniosła swą łabędzia szyję, a potem znowu do mnie się zwróciła:

— Pan się ze mnie śmieje, bo panu się wydaje, że ja plotę, jak sroka! Ale ja nie jestem takie dziecko, jak się panu zdaje. Ja mam już dwadzieścia lat, ale czy pan myśli, że w Pogoryszkach można się rozwinąć umysłowo. Dopiero tu, w Warszawie, zaczęłam poznawać życie. Już byłam raz w cyrkule, w szpitalu odwiedzałam znajomą, byłam u rejenta, nawet w lombardzie byłam! A jakże! Wszystko widziałam. Ja jestem bardzo ciekawa, jak mamusia, i uparta, jak mamusia! Ja chcę wszystko poznać! Ja wiem, że pan się zbiera w jednej „knajpie” (z du-

) Ależ ona nie rozumie tego co mówi.

mą użyła tego wyrazu) ze znajomymi, i że wy tam urządzać „Platońskie” biesiady. Tak mi mówił doktor Łędźwiłł, i wiem, że tam bywa kilku poetów i malarzy, i kilku bardzo zabawnych ludzi: p. Henryk Nawara, Dantyszek, ten sławny pisarz, i profesor Tarło, i Styczeń: będę musiała kiedyś być na waszem zebraniu, to już pan mię tam wprowadzi! A możebym została inżynierem, jak pan! Budowałabym mosty. Wie pan, chciałabym zbudować taki most do samego nieba!

— Ależ pani jest sama mostem do nieba! — wołałem mimowoli.

— Ach, jak mi się to podoba, co pan powiedział! To coś, jakby z sonetów Michała Anioła!

I klasnęła w ręce, zeskoczyła z okna i zaczęła naraz skakać po pokoju, wzięwszy z rąk cici czarne-go kotka i, niby to skacząc, niby tańcząc, całowała to wypieszczone stworzonko i śpiewała:

Kochanków liczę na tuziny,
Sam na sam z chłopcem, to mi raj!

Poczem rzuciła kotka, który, łyskając zielonem okiem, uciekł z powrotem pod skrzydła cici, a następnie zbliżyła się ku piecowi, gdzie w dość obszernem pudle na słomie leżały dwa grube, jak kluski, trzytygodniowe szczeniaki z gatunku wyżłów pokojowych. Wraz z nimi mieściła się tam wiecznie śpiąca, stara wyżlica, czarna z żółtą plamką na nosie. Szczenięta były ciemno-żółte, widać nie po matce. Gramoliły się niezgrabnie po swoim pudle i żalosnem skomieniem dawały znać o sobie. Stara suka znała dobrze Elfrydę, gdyż ta przybyła właśnie w dniu narodzin szceniąt — i od pierwszej chwili roztoczyła nad matką i dziećmi najczulszą opiekę, tak, iż miała ona tutaj szerokie przywileje. Śpiąca suka nie pro-

testowała zupełnie, gdy Elfryda wyjęła z pudła dwa szczeniaki i zaczęła się bawić z nimi, jak mała dziewczynka lalkami.

— Ach, jakie śliczne psiątka! — mówiła panienska, poczem jęła się im baczenie przyglądać i dodała. — To suczki.

— *Mais Jeannette, tu es folle!* *)

— Dlaczego? Czym nie poznała się na tem?

— Naprzód o tem się nie mówi, a powtóre, to nie suczki!

— Nie suczki? Więc jak ty odgadujesz? *Elise! dites le moi, ma chérie!* **)

— *Ah, mon Dieu! Quelle enfant terrible!* ***)

Jak, o tem ci mówić teraz nie będę, ale tylko ci to powiem! *Bijou* jest piesek, a *Zola* — suczka!

— Ha, ha! — zaśmiała się Joasia. — Patrzcie, a Tereska mówiła, że to dwa pieski, ja znowu, że to dwie suczki, a tymczasem... To ciekawe!...

— Mogłaby też wiedzieć o tem panna Tereska...

— Jakim sposobem! To niełatwa rzecz! Przecież u małych dzieci do roku nie można poznać, czy będzie chłopiec, czy dziewczyna, a dopiero u szczeniaków...

Tak mówiła Elfryda, oburzona, że ludzie drwili z jej ciemnoty, ale to jej wyjaśnienie przyjęto wybuchem śmiechu tak serdecznego, że Elfryda zrozumiała odrazu: Palnęłam jakieś głupstwo.

W jednej chwili stała się czerwona, jak ogień; poczem poleciała wprost do okna i jednym susem, jak sarenka, wyskoczyła przez okno do ogrodu. Tu, niby strzała, pobiegła między szeregami malw, sama barwna, jak malwa, i, szybkołotna, ukryła się w zasłonie

*) Zwarjowałeś, Jankol

***) Elizo, powiedz mi to, moja droga!

****) Ach, mój Boże, cóż za dzieciak nieznośny!

dzikiego wina, pokrywającego altankę u wylotu alei. Chwilę tam pozostała — i ukazała się znowu, wypływając z gęstwiny bżów. Wnet też usłyszeliśmy jej śmiech srebrny, niemal dziecinny, pełny radości osobliwej. Powróciła znów powolniejszym krokiem i, zbliżywszy się do okna, powiedziała do mnie:

— Wracam, panie Karolu, niech mi pan poda rękę!

Natychmiast z całą galanterją starzejącego się kawalera podałem jej rękę. Wyznaję, że dotknięcie tej młodej, białej rączki podziałało na mnie, jak prąd elektryczny — i sam nie wiem, dlaczego obudziła się we mnie myśl, coby to była za rozkosz posiadać w domu taką czarodziejkę.

Lekko, jak bezcielesna istota, wskoczyła na okno i z okna znowu do pokoju. Ukłoniła się żartobliwie i śmiała się, niby szalona, aż jej skrzące się niebieskie oczy zdały się na chwilę raczej zielono-złote, niż niebieskie. Włosy jej zaś, zupełnie fantastycznie, niby złoty obłok, rozbijały się na główce, zasłaniając białe, szerokie czoło.

— Niech pan nie myśli, że ja jestem taka głupia! O tych pieskach to mi się tylko tak wyrwało. Ale ja wiem wszystko, doskonale wiem! Stasiak mi to wszystko powiedział. Bo musi pan wiedzieć, że Stasiak to już prawdziwy mężczyzna, student uniwersytetu, lubi sobie wypić, pobawić się — i to wszystko. Stasiak, proszę pana, ma już kochankę. To jest jedna panna z teatru, śpiewa na scenie i tańczy! Tak, panie Karolu! Bo jakże młody człowiek mógłby żyć bez kochanki? Tak mi powiedział Stasiak. Pan pewno także ma kochankę, nieprawda? Mówili, że pan jest cynik. Czy pan jest naprawdę cynik? Cynik to jest ten, co śmieje się z miłości, a mówią, że pan nie wierzy w miłość. Czy to prawda? Ale swoją drogą, kochankę pan ma, tylko pan o tem nie chce mówić.



To bardzo szlachetnie z pańskiej strony, bo każdy prawdziwy mężczyzna jest dyskretny.

I Stasiék jest dyskretny: nikomu o swojej damie nie powiedział, tylko mnie pod sekretem, bo ja jestem dobra do sekretu, a musiał mi powiedzieć, bo chciał jej sprawić suknię, ale nie miał pieniędzy, więc mi zabrał futro i zegarek — i zastawił w lombardzie za 50 rubli. Sama z nim byłam w lombardzie. Stasiék zapewne mieszkałby tu z nami i byłoby nam weselej, ale nie może, bo on tę damę przyjmuje u siebie. Szczęśliwy chłopiec! Jak jabył chciała być chłopcem! Zarazbym sobie wzięła za kochankę pannę Elizę.

— *Mais tais-toi donc, petite drôle!* *) — wołała panna Eliza, rosła brunetka południowego typu francuskiego, o wielkich, czarnych, żywych oczach i śniadej cerze, osoba wcale przystojna, lat około trzydziestu, ubrana ciemno, dyskretnie i ze smakiem. Śmiała się, mówiąc do Elfrydy, bardzo zadowolona z jej oświadczeń — i, ujawszy ją za rękę, posadziła na swych kolanach — i zaczęła ją całować.

— Ależ ja cię kocham, Elizol! — mówiła Joasia, całując nawzajem Elizę. — Kocham cię bardzo i gdybym była chłopcem, tobym się ożeniła tylko z tobą!

Widok tego całowania rozmarzył mnie dziwnie, ale nie mogłem uczynić nic więcej, tylko nalałem sobie kieliszek benedyktynu. Elfryda tymczasem zeszła z kolan panny Elizy i z melancholją, niemniej zabawną od jej wesołości, zbliżyła się do fortepianu. Zagrała kilka akordów z preludjum Szopena i nanowo zaczęła mówić:

— Jakie to dziwne, że kobieta nie może się ożenić z kobietą. Wielka szkoda! Ja nie mogę się ożenić, tylko muszę wyjść zamaż. I mamusia moja, kie-

*) Ależ cicho bądź, ty łobuzie mały!

dym wyjeżdżała do Warszawy, tak mówiła do mnie mądrze, bo mamusia jest bardzo mądra. „Pamiętaj — powiedziała — że te wszystkie nauki, filozofje i ekonomje, to nicpotem, a główna rzecz, żeby paniénka wyszła zamaż i złapała sobie jakiego chłopca, żeby to był chłopiec nie za stary i nie za młody, żeby miał stanowisko i dobre dochody, np. żeby był inżynierem...” O, jak pan Karol! — tu klasnęła w ręce — słowo daję, mama pewno myślała o panu. To ja już chyba pana będę musiała „złapać”. Dlaczego nie? To bardzo ładna rzecz być inżynierem!

Robiło mi się słodko koło serca.

— A jeszcze mamusia powiada: „Musisz zrobić dobrą partję, przecież ty jesteś bogata: masz kamienicę w Poniewieżu... i pięćdziesiąt tysięcy”... Ale to wszystko nieprawda. Mamusia kłamie tak z miłości. Bo to wcale nie kamienica, tylko drewniany domek, a ja wcale nie mam pięćdziesięciu tysięcy posagu, tylko dziesięć. Więc to jest bardzo mało — i nie mogę zrobić świetnej partji. Czy pan jest świetna partja? Pan mi się bardzo podoba. Pan jest podobny do Staśka, ale tak, jakby Stasiék był już zupełnie dorosły człowiek. Albo nie!... Właśnie pan wcale nie jest do niego podobny. Stasiék to szalała, sowizdrzał, smarkacz. Ja lubię tylko ludzi poważnych, głębokich i dojrzałych. Właśnie, jak pan. Ja się znam na ludziach i mam dużo doświadczenia. Pan jest bardzo przystojny. Ach, jakby to było zabawne, gdyby się pan z mną ożenił. Razem budovalibyśmy mosty dla pana starosty — nieprawdaż? Pan musi mnie nauczyć sztuki inżynierskiej i całej technologii: to piękna sztuka. Ja umiem rysować, miałam zawsze z rysunków piątkę, ale robiłam tylko główki i landszafty. Muszę się nauczyć kreślenia takiego właśnie, jakie jest potrzebne inżynierom. Ach,

pan mnie będzie uczył tego kreślenia: dobrze, panie Karolu, mój drogi panie!

Pomyślcie, czy mogłem odmówić tak hypnotycznej prośbie mojej czarującej rozmówczyni? Oczywiście, choć się lekcjami nie trudnię, przystałem, umówiłem się na trzy razy tygodniowo i za dwa dni mieliśmy już zacząć pracę w charakterze urzędowym.

Wogóle zachowywałem się wobec Elfrydy niemal całkowicie biernie; zdawało się, że jestem bez woli i że ona mnie, jako nieoporną, bezwładną masę, samoistnie bierze w swe posiadanie.

Byłem upojony tym wiosennym śpiewem ptaka, co mógł świergotać byle jaką melodią, a wszystko wychodziło niezmiernie uroczo, jakby każdy ton miał rozmaite elastyczne znaczenia. Czas był już na mnie i opuściłem salon pani Marskiej, dziwnie poruszony. Mieszkanie było tak położone, że szło od ogrodu wzdłuż bramy i miało dwa okna, wychodzące na ulicę. Jedno z okien należało do pokoju panny Elizy, drugie do Joasi. Kiedym się znalazł na ulicy, z najbliższego okna usłyszałem okrzyk: „panie Karolu!”

Joasia już była w swoim pokoju i przesyłała mi ręką pożegnania, które na mnie robiło wrażenie pocałunku. Ta krótka godzina czasu, przebyta u pani M., zdawała mi się jakby złoty moment, wykrojony przypadkiem z Edenu. Coś zaperliło się we mnie, jak puhar wina szampańskiego. Coś zakolysało się we mnie, coś zapachniało konwalją i jaśminem.

Zdawało mi się, że już moje życie uczuciowe dawno wygasło, a tymczasem naraz coś mię znowu wytrąca z drogi rozsądku i spokoju, i budzi w moim sercu nowy dreszcz wiosenny. Czy aby nie zapóźno? Rusalka, pełna magicznej siły, wcielenie pokusy, przebudziła naraz to, co już we mnie dawno zastygło, i ukazała mi perspektywy ślicznych zamków na księżycu. Wyznaję, że nigdy w życiu nie był tak ro-

mansowo i romantycznie usposobiony, jak w owo popołudnie czerwcowe, gdy się pożegnał z Elfrydą. Nawet kiedy, jako gimnazysta, kochałem się w Jadzi i kiedy, jako student, kochałem się w Czesi, nie miałem tego osobliwego dreszczu, tego drżenia całej mej istoty, jak teraz, kiedym ujrzał to niezwykle zjawisko. Co innego historia z panią Julją: była to przynajmniej raczej tragiczna, a która dla nas obojga zakończyła się rezygnacją i rozeszliśmy się oboje z sercem nadkruszonym, choć niepełniliśmy nic złego, owszem, był w naszym postępowaniu pewien heroizm; cała ta sprawa miała w sobie jakiś wielki, beznadziejny smutek.

Tu, przeciwnie, jakaś radość drgająca, jak promień słońca na zielonych liściach młodej brzozy — rozszerzała mi serce, iż czułem się wprost odrodzony i odmłodzony. Dawne wspomnienia były mi raczej podnieta, niż zaporą. Nigdy nie spotkałem takiej czarownej osoby — i myśl o niej popchnęła mnie momentalnie w kierunku najdalej idących postanowień.

Ożenić się! — co za szczególna idea. Natychmiast się roześmiałem sam do siebie z tego pomysłu, ale był to w gruncie rzeczy śmiech szczęścia.

Prawda, jest między nami znaczna różnica wieku: ona ma koło dwudziestu lat, a ja prawie o lat dwadzieścia jestem od niej starszy. Czy to uczciwie z mej strony łączyć się z tak młodą dziewczyną? Ale z drugiej strony, czy jest uczciwie zdeptać to szczęście, co się do mnie uśmiechnęło?

— To moja ostatnia miłość! — mówiłem sam do siebie. — Czy istotnie miłość? Jakiś mędrzec powiada, że u mężczyzny ostatnia miłość jest najsilniejsza.

Nie chciałem teraz widzieć się z nikim, choć miałem zebranie wieczorem; wolałem marzyć o tej syrence, którą dziś ujrzałem.

Wróciłem do domu — i zacząłem niby to gorli-

wie rysować plan jakiejś pompy ssąco-tłoczącej. I oto ciągle mi się zdawało, że koło mnie krąży jakaś niewidzialna postać w bluzce lila i w sukience „chamois” — i że ma bujne rozwiane złote włosy i skrzące niebieskie oczęta — i nieustannie słyszałem jej śmiech i świergotanie, a każde jej słowo przybierało dla mnie znaczenie, całe odmienne od tego, jakie miało zewnętrznie; w słowach jej odczuwałem jakieś niesłychanie głębokie i wyraźne objawienia.

I żał mi było, że to tylko widmo i ułuda — i że jej tu niema — i rosiłem, co to byłoby za szczęście, gdyby ta róża polna na zawsze u mnie zamieszkała, jako moja żona.

Żona! Prawdę mówiąc, nigdy na serjo nie myślałem dotąd o małżeństwie, a dziś już po raz drugi coś mi w tym rodzaju migota. Ani Jadwiga, ani Czesia, ani tembardziej pani Julja — nie wiązały się nigdy w mojej wyobraźni z ceremonją ślubną. Były to miłości mniej albo więcej poważne, mniej albo więcej trwałe, ale, że się tak wyrażę, pozaspołeczne.

Teraz dopiero po raz pierwszy — myśl ta stała tak jasno przede mną, żem się poniekąd uląkł paru moich przyjaciół, którzy wespół ze mną zakleli się, że nigdy się nie ożenią. Spisek szczególny i właściwie nierozsądny. Zresztą mój akces do tego spisku był bardzo nieokreślony; poczyniłem na wszelki przypadek rozmaite zastrzeżenia: „Jakkolwiekby — to jednakże, w każdym razie, gdyby naprzykład...” Ta niewyraźna formuła chroniła mnie przed zobowiązaniem bezwzględnem. Jednakże taki Nawara, albo Herkner, albo Styczeń niewątpliwie przeciw mnieby wystąpili: Zdrada! — zdrada! — wołaliby do mnie.

Z tego powodu wołałem się z nimi nie widywać — i głównie przesiadywałem w domu, albo też potajemnie, jak zbrodniarz, mówiąc stylem Scho-

penhauera — śpieszyłem na ulicę Zieloną — do małego domku z ogrodem.

— Widzisz, stary szaleńcze! — mówiłem sam do siebie. — A jednak instynkt gatunku opanował i ciebie! I choć cię Schopenhauer ostrzegał, to przecież idziesz oślepiiony i bezwłasnowolny. Pomyśl, takie studenckie historie w twoim wieku! Czy ci nie wstyd?

Alem już wszelki wstyd utracił. Chwilami budził się we mnie rozsądek, ale miał minę koślawej małpy, gdy moje szaleństwo było podobne do królewiny z baśni.

Tam — przy ulicy Zielonej — zdawało mi się — jest bardzo blisko nieba. Jakoż nieświadomie budowaliśmy z Elfydą most do nieba.

II.

Elfryda okazała się nadzwyczajną uczennicą. Co prawda i ja też byłem nader gorliwym nauczycielem — i wobec mojej panienki czułem się wprost natchniony, tak że kreślenie linii krzyżowych, hiperbol i parabol, linii spiralnych i sinusoid — wszystko to rozwijało się w moich oczach w jakieś symfonie poetyczne — i z tych lekcji tworzyła się jakaś zupełnie oderwana, nie mająca nic wspólnego z naszą pracą, symboliczna, nieskończona melodia.

Zaczynałem nie rozumieć, jak się to stało, że ja dotychczas mogłem istnieć bez Elfrydy — i nawet już wątpiłem, czym dotychczas wogóle egzystowałem.

Praca nasza odbywała się w pokoiku Elfrydy. Ponieważ miałem wtedy na niektóre rzeczy uwagę wprost przeczułoną, zauważyłem niedługo, że koło okna Elfrydy, już to bliżej, już dalej, czasem na chodniku przeciwnym, czasem po naszej stronie, krąży ciągle paru młodych ludzi, na oko sądząc, studentów, a którzy niewątpliwie czuwają tu dla Elfrydy.

Był tam jeden młodzieniec rudawy, barczysty, o minie bandyty, w kolosalnym kapeluszu, z grubym kijem w rękę: stał on godzinami pod latarnią na przeciwnym chodniku i ćmił papierosa za papierosem, niby to patrząc w niebo, a w gruncie śledząc nasze okno.

Był drugi, elegancki mały brunecik, z melancholijnym okiem, w czarno oprawnych okularach na szerokim sznureczku i w niebieskim krawacie. Ten stał w pobliżu okna, koło bramy naszego domu — i właściwie tak się umieszczał, że nic nie mógł widzieć, ale oddychał powietrzem, którego warstwą bliższą oddychała Elfryda. Było jeszcze paru, co nie chcieli stać na miejscu, ale woleli badać sprawę metodą perypatetyczną — i krążyli po ulicy, aby od czasu do czasu rzucić okiem do pokoiku Joasi.

Jeden poważny młody człowiek, o minie profesora — stale robił sto kroków tam i z powrotem — i nagle pod okienkiem niby to przypadkiem się zatrzymywał i spoglądał w okno, za którem stała Elfryda; udając, że stało się tak od niechcienia — szedł z pośpiechem dalej, robił kilkadziesiąt kroków i wracał z powrotem.

Inny, wygolony jak Anglik, pan w pelerynie, czupurny i żywy, o świdrującym czarnem oku, tę samą podróż odbywał w kierunku odwrotnym, ale ten zatrzymywał się po oknem na dwie minuty i dłużej, śpiewając jakieś arje z operetek.

Zaprowadziłem zwyczaj radykalny; zapuszczałem firaneczki tak, że nic nie było widać — i doradziłem Elfrydzie, żeby zawsze to samo czyniła, co też mi ona obiecała.

Młodzież ta — wyznaję — z lekka mię zaczęła niepokoić. Bez trudu domyśliłem się, co znaczy ta defilada. Widocznie chłopcy zauważyli ładną dziewczynę i krążyli koło okna, jak wilcy koło owczarni. Od panny Elizy dowiedziałem się nawet, że Joasia dostała w okolicy przewisko: panienka z okienka.

Jakoż z czasów poniewiekich został jej obyczaj, mało znany w większych miastach, wyglądania przez okno. O ile była sama w swoim pokoju, rano czy wieczorem, stawała w oknie i przez otwarty lufcik pa-

trzała na ulicę. Zresztą nie było tam nic ciekawego do widzenia: była to ulica spokojna, mało ruchliwa, oddalona od centrum, w niehandlowej dzielnicy; w każdym prawie domku był tam ogródek, a chodniki były wysadzone kasztanami. Domów wyższych nad dwupiętrowe widziałeś tu niewiele; byłeś niby na prowincji, gdzie się mniej więcej wszyscy, choć z widzenia, znają. Nic też dziwnego, że zjawienie się Elfrydy obudziło tu powszechne zajęcie.

Zapuszczanie firaneczki, ów bardzo prosty, obmyślony przeze mnie strategemat stał się, jak to zrozumiałem później, powodem konsternacji w całej dzielnicy.

Elfrydę te wędrowniki chłopców wielce bawiły. Serdecznie śmiała się z tych serenadowych przedstawień, a że była aż nazbyt żywa i mało przezorna, przeto, wyglądając przez okno, nieraz wymieniała z niemi spojrzenia i wyglądało tak, jakby ich sama ośmielała. To też, niewątpliwie, ci młodzi studenci mieli o Elfrydzie zupełnie osobliwe pojęcie.

— To są wszystko moi wielbiciele — mówiła Elfryda. — Kochają się we mnie i okropne oczy robią do mnie, aż mi się chce nieraz od śmiechu pokazać im nosa. Ja ich znam teraz wszystkich z imienia i nazwiska. Każdy z nich już tu dawał różne znaki i raz mi jeden przysłał bukiet, inny jakąś osobliwą malowaną pieczętkę z Amorem, inny znów bardzo trudny do odgadnięcia rebus albo znów list cyfrowany. Ale ja jestem *une personne très sérieuse* *) — nic na to nie odpowiadam. Chłopcy tu krążą całymi godzinami. O, ten rudy, co wygląda, jak zbójca, to jest malarz, nazywa się Michał Kierz, a ten brunecik, Kazimierz Zwański, to kolega Stasia i gdyby był mędrszy, toby go Staś do cioci wprowadził. Ten, co wy-

*) osobą bardzo poważną.

gląda na profesora, to Józef Proszek, a tamten w perlerynie — to medyk z III roku, Leon Busz!

Elfryda mówiła o tem wszystkim tak wesoło, że we mnie, sam nie wiem dlaczego, obudziło to wielką melancholję. Zapewne też odbiła się ta żalność na mojej twarzy, bo wnet i Elfryda dziwnie posmutniała, pytając:

— Czy ja co złego zrobiłam? Dlaczego pan tak dziwnie na mnie patrzy?

— Nie, nic złego, ale niech pani im się nie przygląda tak z okna, bo mogliby to sobie źle wytłumaczyć.

— No, to już dobrze, nie będę wyglądać przez okno.

Rozmowa ta jednak wpłynęła na mnie ujemnie. W duszy przyznawałem, że którybyś z tych młodych ludzi miałby daleko większe prawo do Elfrydy, niż ja; myśl, że zostałbym mężem osoby, prawie o połowę młodszej ode mnie, napełniała mnie trwogą, i chwilami całe moje zachowanie się wobec Elfrydy wydawało mi się jeszcze bardziej żakowskiem, niż postępowanie tych studentów. Zaczynałem się gniewać sam na siebie i duszę moją gryzły wielkie wątpliwości. Na stare lata zakochałem się w smarkatej dziewczynie — i stałem się nie mniej śmieszny, jeżeli nie więcej, jak ci studenci. Postanowiłem też sobie, że przestanę dawać lekcje Elfrydzie, że przestanę o niej tak dziecinnie marzyć, i wogóle zapomnę o niej zupełnie: wrócę na nasze zebrania w knajpie u Wincentęg, gdzie na nowo rozpocznę sceptyczno-cyniczne biesiady, aby się uleczyć z mojej spóźnionej romantyki. Takem sobie postanowił i dotrzymałem słowa. Kiedy powitali mię hucznie brawem, jako marnotrawnego syna, i honorowy poncz mi ofiarowali. Nie spowiadałem się im z powodów mej dłuższej nieobecności: starałem się być, ile można, drwiącym i cynicz-

nym — i wogóle okłamywałem sam siebie, bo w istocie było mi nieskończenie smutno.

Czasami też sam siebie chwytałem na przejawach aż nazbyt młodzieńczego sentymentalizmu. Raz, na przykład, nieświadomie prawie, kupiłem pudło cukrzonych pomarańcz i dopiero, powróciwszy do domu, zrozumiałem, co to znaczy: Elfryda mówiła mi kiedyś, że bardzo lubi pomarańcze w cukrze; to też, ile razy widziałem w jakim magazynie ten smakołyk, zawsze mię coś korciło, żeby go kupić. Głównym źródłem mojego smutku był brak decyzji: z dnia na dzień, z godziny na godzinę zmieniałem postanowienia.

— Nigdy już tam nie pójde.

— Jutro muszę się zobaczyć z Elfrydą.

— Karolku, jesteś stary głupiec. Spraw sobie szlafrok i pantofle!

— Bez niej wyżyć nie mogę. Przecież to samobójstwo. Jutro oświadczę się cioci i pannie!

— O, idjoto! czy wytrzymasz bez śmiechu tę ceremonję?

— Nie, śmiać się nie będę! Będę się zachowywał z najwyższą powagą. Będę wzruszony!

— To idź do Wincentego — i porozmawiaj z butelką węgryna!

— A jednak!... Jakże mi szkoda tej krynicy życia i zmartwychwstania! Czyż na zawsze mam być trupem — i niewolno mi się odrodzić?

Toż skoro tylko zamykałem oczy, natychmiast, jakby tam na siatkówce była tylko ona jedna, wypływała Elfryda w całej swej postaci, kształtna, wysmukła, silna, dysząca radością. Coś niesłychanie pieszczotliwego płynęło mi od tej wizji — i byłem niezadowolony, że takie samemu sobie nieprzyjemne uczynił postanowienie, i że już dziesięć dni nie był u Elfrydy — i nawet nie wiem, jak daleko posunęło się zuchwałstwo tych błaznów studentów.

Właśnie był dzień jedenasty, gdy w godzinach porannych listonosz przyniósł mi kartkę z malowaną. Obrazek przedstawiał człowieka, który tonie w wodzie, i drugiego, który się w głąb rzucił i nieszczęsne go ze spienionych fal mężnie wydobywa.

Pod tym obrazkiem widziałeś miłe, drobne pismo; fioletowym atramentem nakreślone były wyrazy:

Pan nigdy nie będzie taki!

Jeanne.

— To od niej. Co za gorzka pogarda — pomyślałem sobie — i stało mi się na świecie bardzo miło i zabawnie. Gniewa się na mnie za moją nieobecność, którą nawet listownie zaniechałem wytłumaczyć.

Zdecydowałem się ostatecznie, że pójde do niej! Przyszła mi na myśl dziwna refleksja: ile razy występowałem w roli amanta, byłem stanowczy, szybki i pewny ręki; skoro tylko wiązała się z tem choćby daleka myśl o małżeństwie, traciłem równowagę ducha i stawałem się niepewny siebie. Zdaje mi się, że budziła we mnie trwożną idea ciągłości związku — i tej krępującej jednostajności, co się z nim łączy. Czyby nie zmienić taktyki z Elfrydą? Myśl o małżeństwie denerwuje mnie i ubezwładnia. Niech naprzód zostanie moją kochanką, a potem zobaczymy. I odepchnąłem natychmiast tę decyzję z oburzeniem.

Nie znaczy to bynajmniej, abym miał chęć obrazić pamięć kobiet, które mnie kochały, gdyż zawsze świętą jest pamięć osoby, która ci dała w życiu choćby godzinę szczęścia, ale postać Elfrydy w mojej wyobraźni kojarzyła się z ceremonjałem czysto społecznym. Może dlatego, że była to jakby leśna dryjada, i słodko mi było marzyć, że taką właśnie istotę, oswojoną, będę miał w domu. Może to wpływ czwartego

krzyżka — i utajony egoizm, pożądanie sionca na nadchodzącą jesień żywota, nie wiem, ale odrzuceniem stanowczo wszelki zamiar nieprawny względem Elfrydy, a z drugiej strony — stara nawyczka! niesłuchanie trudno było mi wejść w formuły obyczajowe.

Gdym przybył do małego domku przy ulicy Zielonej, panowało tam wielkie wzburzenie. Ciocia wyglądała na osobę bardzo strapioną, p. Eliza była blada, nawet żółtawa nieco, i oczy opuściła w ziemię. Elfryda zaś miała pod oczkami sinoczerwone prążki, jakby długo przedtem płakała. Był nadto w pokoju student, brat Elfrydy, chłopiec wysmukły, o małych wąsikach, szatyn ciemny, mający oczy, podobne do Elfrydy, choć spojrzenie mniej czyste: widać, że ten młodzieniec niemało uciech sączył z pułapu życia. Był ubrany w sposób wyszukany, mundur nosił zawsze galowy, a na oczach miał wcale niepotrzebne binokle bez sznurowadła. Przemawiał nieco zgóry, jakby urzędowy opiekun siostry. Krążył po pokoju, z rękami w kieszeniach, bardzo wzburzony — i, jak dotąd, jedną tylko etażerkę z kwiatami przewrócił, kota wyrzucił przez okno do ogrodu, a suce groził, że to samo z nią uczyni, jeżeli warczeć nie przestanie.

— Moja Joasiu — mówił — jesteś cielątko. Kiedy zamaż wyjdiesz, to będziesz mogła romansować — to jest przyjęte. Ale dopóki jesteś panną — to się pilnuj. Tu nie jest Poniewież, tylko Warszawa. A tym opryszkom ja poprzetrącam nogi i ręce... Kamień na kamieniu nie pozostanie...

— Co się stało? — pytałem zaniepokojony. — I czemuż to pan siostrę zowie cielątkiem — i takie szczególne nauki jej daje.

— Nauki moje są tylko esencją dzisiejszego ustroju społecznego — tak właśnie, jak to się praktykuje, a że cielątko jest — to jest. Mnie, starszemu

bratu, wolno tak powiedzieć do siostry, bo i ona mi nieraz mówi: ty, baranie.

— Czy p. Elfryda miała jaką przykrość? — zapytałem cioci, nie chcąc tymczasowo poruszać tematów Stasia.

— O, i wielką — powiedziała ciocia z ciężkim westchnieniem, a panna Eliza jeszcze boleśniej westchnęła.

— A to wszystko przez pana — zawołała do mnie Elfryda. — Dostał pan moją kartkę? Czy pan wie, że ja o mało nie utonąłam, a pana tu nie było, żeby mnie ratować. Bo pan jest nieczuły, lodowaty, bez serca... Żebym ja była o tem wiedziała...

— Ale o czem? Skądże te groźne posądzenia? I gdzie to pani o mało co nie utonąła?...

— W tem oknie. Bo to cała historia przez to okno. I dopiero jak zobaczyli Staśka, to się ulękli...

— Kto zobaczył Staśka... kto się ulękł?...

— Te chłopcy. Nie wiedziałam, że studenci są tacy złośliwi. Więc to było tak: oni tu się ciągle kręcili pod oknami, ale ja nic nie winna, bo przecież nawet się na nich nie patrzyłam. Dlaczego oni to robili — nie wiem: to pewno taka zabawa studencka. A ja, że pan nie przychodził, rysowałam ciągle te same linje i te same figury, co mi pan pokazał. Więc siedziałam raz w nocy przy lampie i rysowałam, a wszyscy już spali — i panna Eliza spała (tu zauważyłem, że panna Eliza jeszcze bardziej oczy opuściła), a że było bardzo gorąco, więc otworzyłam lufcik. Była może pierwsza po północy. Wtem słyszę z ulicy głos, co woła: Panno Joasiu! W tej chwili wstałam i wyrzłam przez okno, a tu pod oknem wszystkie te chłopcy, i Leon, i Kazio, i Michał... stanęli i czapki zdjęli, grzecznie mi się kłaniają. A ten, co wygląda na profesora, pan Józef, tak mi powiada: — Proszę pani, wielkie grozi ci niebezpieczeń-

stwo, i przychodzimy cię ostrzec! — Ach, jak to ładnie z ich strony... — tak sobie pomyślałam i zaraz im podziękowałam. — Serdecznie jestem obowiązana panom, panowie studenci. Cóż mi grozi? powiedzcie, bo się bardzo lękam. — Więc oni znowu: — Jest tu jeden wielki siłacz, atleta z cyrku, który się chwali, że panią porwie i na koniec świata zawiezie! — Aż mię dreszcz przeszedł, gdy to usłyszała: żeby mnie jakiś straszny człowiek porwał i uniósł gdzie daleko, i nie mogłabym zobaczyć się z mamą, ani z ciocią, ani ze Staśkiem, ani z panem Karolem! Więc, oczywiście, tak powiadam:—Ach, jacy wy dobrzy, jacy szlachetni, że mnie ostrzegacie! Uratowaliście mnie od straszego nieszczęścia! A mama to mi mówiła w Poniwieżu, że pilnuj się — powiada — i czuwaj nad sobą tam, niby w Warszawie, bo tam są ludzie chytry i złośliwi, a tymczasem wcale nieprawda! Dusze poczciwe i oddajecie mi rzeczywiście wielką usługę! Przysięgam, że lubię was za to ogromnie, za tę waszą szczerłość i złote serce! Już ja wam tego do końca życia nie zapomnę i musimy się zapoznać bliżej: ja was poproszę, to tu przyjdziecie do mnie kiedy na herbatę wieczorem, i ciocia będzie, i panna Eliza będzie — (panna Eliza nagle twarz odwróciła) — i będzie Stasięk, mój brat, i pan Karol, mój narzeczony — a gdy ja z pewnem zdziwieniem służyłam tego słowa, pośpieszyła dodać — umyślnie tak powiedziałam „mój narzeczony”, żeby im zaimponować, że niby już zamąż wychodzę, ale przecięż ja wiem, że pan mnie nie kocha, i że pan wcale nie jest mój narzeczony! I, proszę pana, naraz te chłopcy, jeden naprawo, drugi nalewo, i powiadają: — do widzenia, dziękujemy! — i, sama nie wiem dlaczego, śmiali się bardzo...

Chciałam jeszcze im podziękować i niemało powiedzieć, ale oni zniknęli — i zrobiło mi się smutno. Pomyślałam sobie: szkoda, że tu niema Staśka albo

pana Karola, toby z nimi lepiej mówił. Bo przecięż to było bardzo zacnie, że mnie ostrzegli przed tym olbrzymem! Nieprawda? Zamknęłam okno i tak sobie myślę: czy aby nie zrobiłam jakiego głupstwa? Co to za człowiek z cyrku, co mnie chciał porwać? Gdzie on mnie widział i kiedy? Nic sobie nie przypominam i nigdy go nie widziałam. Czy to nie był tylko figiel — i dlaczego oni, skoro jeno usłyszeli: Stasięk, Karol, pan Karol, to zaraz uciekli? Tak sobie myślałam, bo jestem bardzo bystra — i zaraz sobie powiedziałam, że jestem cięłą i osoba niedojrzała i nie można mnie samej sobie zostawić. Na drugi dzień o tem powiedziałam cioci i panie Elizie, a panna Eliza aż zemdłała, gdy usłyszała moje opowiadanie — (tu, jakim zauważył, panna Eliza zaczerwieniła się, jak burak) — a ciocia bardzo się na mnie pogniewała i powiada: „ty jeszcze kiedy utoniesz, taka jesteś lekkomyślna!” — A dopiero Stasięk jak mi zaczął mówić, że jestem cięłą, i gęś, i takie różne rzeczy, com już sama sobie powiedziała! Pewnie ma słuszność, bo on jest doświadczony. Ale nikt mię nie bronił, więc mi było smutno. Myślę sobie: pan Karol pewnie byłby po mojej stronie, ale to człowiek zimny, bez duszy i zapomniiał już o mnie.

Ta dziewczyna stanowczo przeczuwa, że we mnie coś się odbywa szczególnego i że jestem niemal pod jej władzą; zachowuje się tak, jakby to, o czem ja marzę chwilami, niestanowczo, czasem ironicznie — już oddawna było faktem dokonany.

— Bezwarunkowo będę pani bronił, a co do pani oskarżeń, że jestem bez duszy, to znowu...

— Przepraszam, kolego! — przerwał z powagą Stasięk — pozwólcie, że ja się tą sprawą zajmę. Był to, oczywiście, ze strony tych panów nieprzyzwoity żart, to też ja (tu wskazał na swoją kamizelkę) — muszę ich ukarać. Gnaty im pogruchoczę, pokrwa-

wię ze szczerem, rozprawię się z nimi ostro i stanowczo. Cześć kobiety, rozumiecie, to nie drobiazg! Będę walczył o cześć mojej shańbionej siostry.

— Ależ, Stasiu! — zawołała przerażona ciocia. — Co ty pleciesz! Skądże znowu shańbionej...

— No, nie shańbionej, ale mogłaby nią być. W każdym razie tego nie można puścić płazem. Zresztą... Możeby ciocia dała mi co do zjedzenia, bo właśnie jestem bez obiadu; krucho ze mną, a gospodyni już nie chce kredytować...

Ciocia wydała odpowiednie rozporządzenia, ja zaś zapytałem:

— A gdzie są ci młodzi ludzie?

— Właśnie, że znikli, jak kamfora — i niewiadomo, co się z nimi stało... Od trzech dni ich nie widać.

— Ja ich pod ziemią wynajdę! — emfaticznie wołał Staś. — Ścigać ich będę na koniec świata. Honor rodziny tak mi każe...

W tej chwili poproszono go do jadalnego pokoju, a ja z ciocią zacząłem tę sprawę rozważać i doszliśmy do wniosku, że właściwie nic się nie stało, że właściwie nie było żadnej tragedji — i że cała ta przygoda nikomu nie wyrządziła krzywdy. Fortel studencki z atletą cyrkowym był w gruncie dość naiwny; zaufanie Elfrydy raczej dobrze świadczy o jej czystości duszy, a znowu jej koncept, ów „mój narzeczony”, celnie powalił na ziemię atletę. Ciocia była udobruchana, a Elfryda patrzyła na mnie z filuternym uśmiechem, aż jej mały, nieco zadarty nosek z lekka się poruszał — i mówiła:

— O, zaraz mówiłam, że pan Karol wszystko zmiarkuje i wytłumaczy. Bardzo dziękuję — ale teraz druga sprawa. Powiem panu, że pan jest szkaradny i że gniewam się na pana: dlaczego pan tyle dni nie przychodził?

Zacząłem się tłumaczyć w sposób dość nieokreślony, to też czułem, że Elfryda mi nie dowierza. Swoją drogą nastąpiła zgoda — i obiecałem na nowo rozpocząć lekcje. Gawędziliśmy jeszcze z pół godziny, przeważnie na temat, czy prawdą jest to, co mówił Stasiak, że kiedy panna zamąż wychodzi, to zaraz potem zaczyna romansować, a przecież Stasiak zna życie, więc dobrze wie, co mówi.

Twierdziłem stanowczo, że to jest nieprawda, że nigdy na świecie nic podobnego nie widziałem; że było to tylko za czasów Heleny Trojańskiej, raz jeden w historii. Takem opowiadał półdrwiąco — i czułem się odrodzony widokiem Elfrydy, która mi się wydawała zgoła wyjątkową osobą: zwątpienia moje pierzchły, byłem zdecydowany na krok ostateczny: zresztą nie oznaczyłem sobie dnia, ani godziny.

Tymczasem pannie Elizie zrobiło się niedobrze. Pobladła, jak trup — i zemdlona osunęła się na fotelu; obie kobiety ją podtrzymały, a ciocia prosiła mnie, żebym poszedł po doktora.

Natychmiast ruszyłem w drogę, a Stasiak ze mną.

— Niech pan lepiej zostanie — rzekłem. — Może pan będzie tu potrzebny.

— Na nic — rzekł, wychodząc wraz ze mną. — Zresztą mam pilną sprawę, panie kolego, a przede wszystkim muszę się zająć walką przeciw tym kanałjom. Posiekam ich na drobne kawałki. Będę miał z pięć pojedynków, a tu, jak na złość, jestem goły, jak bizun. Pożyczcie mi 30 Er na tydzień czasu. Zwrócę, jak zegarek.

Żadaną kwotę wręczyłem Stasiowi i dodałem te słowa:

— Mój panie, czemu pan siostrze opowiada, że po ślubie można romansować z innymi? Czemu pan zatruwa tę kryształową, czystą duszę?

— Szanowny kolego — odparł Stasiak, zapalając

cygaro — to, co mówiłem, jest to nauka dla kobiet mądrych, ale Joasia tego nigdy nie zrozumie! Będzie taka, jak jej matka: będzie wyprawiała różne hece, ale zawsze najbezpieczniej dochowa wierności mężowi!

Pomyślałem sobie wówczas: obyż ta Joasia była naprawdę nie za mądra! W słowach Staśka czułem ten sam cynizm, który i my uprawialiśmy niegdyś, i dla nieczystego sumienia była we mnie trwoża, bo, jak powiada mędrzec: to się mści!

Czy i na mnie to się zemści?

III.

Postanowiłem więc, że w jak najprędszym czasie całą sprawę załatwię i rozwiążę.

Z tem postanowieniem wróciłem do domu, ale w nocy na nowo mię opanowały zwątpienia. Przedewszystkiem rozważałem, czy nie łudzę się, sądząc, że związanie się z kobietą, choćby tak słodką, jak Elfryda, jest konieczne dla spełnienia moich przeznaczeń? Jakkolwiek moje stanowisko na świecie jest dosyć skromne, to jednak wierzę w to, że każdy człowiek ma swe przeznaczenie, pewną rolę do odegrania na ziemi; rola ta, o ile ją wykonywasz należycie, niewątpliwie określi rację twego bytu na świecie. Jest to jednak rola nieosobista i nieświadoma; jesteś tu ni-by jednym z owych ślimaczków, których miljardy złożyły się na kredówce. — Była to, jak widzimy, droga, jak to mówią, użyteczna, ale bez blasku. Byłem zresztą bardzo ceniony w swoim zawodzie i świeżo otrzymałem propozycję budowania mostu w gubernjum Czernihowskiem. Jednak, bądź-jak-bądź, należy mi się też jakiś promień w życiu; nie przypuszczam, aby ta promienność popsła mi natchnienie. Ale z drugiej strony obawiałem się kolegów, zaklętych wrogów stanu małżeńskiego, a którzy z miłości stworzyli sobie jakiś fenomen sam w sobie i dla siebie, absolutny

i zamknięty, bez celu i bez przyczyny; w gruncie i ja miałem te same poglądy. Jedyny cel miłości stanowiła dla nich rozkosz; nawet rozmaite cierpienia, rozczarowania, niewzajemności, załamania, samobójstwa — nawet to wszystko wchodziło do programu tej samolubnej, oderwanej od życia miłości. Owóż czułem, że tu, poza rozkoszą, ukazuje się nadto jeszcze inna potęga: obowiązek, połączenie na całe życie, coś, co mi niezmiernie trudno sobie wyobrazić. Dzięki perwersji, jakiej nabyłem sam z siebie i w towarzystwie swoich kolegów — przychodziły mi do głowy i takie myśli, że prędzej czy później z Elfrydą się rozłączę — i, wyznając, że mi ta myśl rozłączenia była najmniej przyjemną, jak myśl połączenia.

Bądź-jak-bądź, z tą bandą byłem tak związany, że główna moja myśl krążyła koło kwestji, aby się moi przyjaciele jakimś sposobem o moim grzechu nie dowiedzieli. Dawno już między nimi nie byłem, ale widać jakieś plotki o mnie rozpuszczono po mieście, gdyż spotkałem się raz z doktorem Lędźwiłem i z Dantyskiem, i obaj czynili dość ironiczne aluzje do jakiejś mojej erotycznej przygody. Nicem na to nie odpowiadał, udając, że nie rozumiem; jednakże mnie to zastanowiło. Ostatecznie nie zwracałbym na to wcale uwagi, gdyby nie to, że ja osobiście całą ich ironję miałem w samym sobie.

Nim usnąłem, zdecydowałem po raz nie wiem który:

— Nie — nie! Będę dla niej ojcem — mistrzem — bratem — co chcecie, ale nie...

Na lekcje uczyłem bardzo akuratanie. Moja uczennica robiła znakomite postępy: rysowaliśmy już małe projekty arkad i mostów; słowem, panienska stała się doskonałym inżynierem.

Ja jednakże zachowywałem się na lekcjach w sposób tak oficjalny, że Joasia bywała najczęściej łzawo

melancholijna, jakby jakiś żal miała do mnie, co mi znowu sprawiało rzeczywistą przykrość.

Czasem też przerywała pracę — spoglądała na mnie żałośnie — i naraz wołała:

— Pan nic nie rozumie! — albo...

— Pan jest zimny, jak lodowiec! — albo znowu:

— Szkoda, że pan nie jest inny!...

Rozumiałem to wszystko aż zanadto dobrze — i tylko to mię smuciło, że Elfryda była blada, żałowna, melancholijna — i że traciła humor.

I ciocia była o nią też niespokojna. Mówiła mi, że nie wie, co się stało z dziewczyną, że miasto na nią źle oddziaływa, że ją, jak ptaszyna, że pewnie jest chora...

Zaczynałem się trwożyć, bo widocznym jest, że choć moje postanowienia były mocne, niemal niewzruszone — to jednak, bójcie się Boga! lzy panienci, jej bladość i smutek — wszystko to budziło we mnie zwątpienie i łamało moją wolę.

Gdym na nowo był sam ze sobą, rozmyślałem, co zrobić: czy wyjechać do ziemi Czernihowskiej, zanim będzie to konieczne (miałem jeszcze sześć tygodni czasu) — czy brutalnie zerwać raz na zawsze i raz na zawsze powrócić do pana Wincentego — czy też, mówiąc po mieszczańsku, oświadczyć się panie — i poddać się wymogom społecznym?

Bo wiedziałem już, że niema wyjścia. Przeczuwałem niebo słodczy, ale dostrzegałem też czarną stronę tego nieba. Nie będę o tem wspominał, gdyż na naszych zebraniach u Wincentego instytucję małżeńską takeśmy do cna obgadali, obciosali, obstrugali, że byłem raczej przygotowany na najgorsze, niż na najlepsze — rezultaty. Nikt z większą niewiarą nie przystępował do tej sprawy, którą, niewiadomo dla czego, ludzie nazywają wielką sprawą. Gdybym

chciał określić, jakie było moje główne uczucie w tym momencie, to powiedziałbym, że było to uczucie sztywności, połączonego ze strachem wobec nieznanego...

Gdy tak pewnego dnia rozmyślał, pisząc list w sprawie Czernihowskiej — usłyszałem naraz gwałtowne dzwonięcie. Otworzyłem drzwi — i oto do mego przedpokoju weszli kolejno: stróż domu, chłop olbrzym białowasy, w kubraku, który był niegdyś szarozielony; nieznajoma, niemłoda kobieta w łachmanach jedwabnych, wreszcie Elfryda...

Widok ten zadziwił mię razem i ucieszył. Elfryda, z twarzą zarumienioną od wiatru wrześniowego, w niebieskim płaszczyku, robiła na mnie wrażenie świeżo rozkwitłej gencjany... Śród tego stróża — zającego bardzo, ale mało wytwornego człowieka — oraz tej kobiety, którą czuć było rynsztokiem, wyglądała, jak zjawisko. Parę nieokreślonych słów powiedziałem do Elfrydy, chcąc wyrozumieć znaczenie tej wizyty. Kobieta w łachmanach, podtrzymywana przez stróża, ledwie mogła stać na nogach — i, zamglonem okiem patrząc dokoła, szeptała, jakby do siebie:

— O, Boże miłosierny, zlituj się nade mną! — a spirytusem czuć ją było na dwadzieścia cztery metry.

Stróż ze stoicyzmem rzymskiego legjonisty stał koło tej kobiety i podtrzymywał jej niepewną postawę dwunożną, gdyż najwidoczniej miała ochotę położyć się na ziemi. Cała ta scena odbywała się w przedpokoju. Poprosiłem Elfrydę do mego gabinetu, a stróż z nieznajomą pijaczką został w przedpokoju. Kobietę posadzono na kanapie; pijaczka natychmiast usnęła.

— Co się stało? — zapytałem Elfrydy, która stała zmieszana. — Co to znaczy?

Elfryda milczała, nie mogąc znaleźć słów odpowiednich, ale Ignac przemówił:

— A to, proszę łaski pana — ta pijaczka baba zwała się pod bramą — i tak ciągiem siedzi a siedzi, ciągiem płacze a płacze... Ja ją znam, bo to się tu jeszcze dziesięć lat temu włóczyło po ulicy, niby jako miłosierna panna, co to każdego kocha... Ale potem to to się zestarzało — pies jej nie chciał — zestarzało się i — na śmieciarkę poszła... Takem ją chciał przepędzić, bo to niewolno włóczęgom — aż tu — ta panienska zbliża się do niej...

— Nie, to było nie tak. Oto ta kobieta, biedna i nieszczęśliwa, siedziała pod bramą zaplakana — więc się do niej zbliżyłam, bo mię litość ogarnęła, i pytam: Co za jedna? A ona do mnie: „O, moja złota panusiu, moja święta — taka jesteś podobna do mnie, kiedy byłam w twoich latach, że mogłabym panusiu kochać, jak córkę!” Bardzo mię to ujęło, więc mówię: Moja biedna pani, cóż to z wami się stało, że tu we łzach siedzicie pod bramą, a ten niedobry człowiek was wypędza? — „Panusiu droga, samotna jestem na świecie, sierota opuszczona, bez ojca i matki, bez kawałka chleba... od trzech dni nic nie jadłam! Ulituj się nade mną, królowno zlocista!” — A gdzie wy mieszkacie, dobra kobieto? — „Gdzie się uda, panienczko. Kała nie mam pod głowę, ani dachu — sierota opuszczona, bez ojca i matki...”

Tak mówiła Elfryda — i szczęście, że się pijana baba obudziła, bo jej chrapanie przeszkadzało mi słyszeć głos dobroczynej panienski... Scena ta mimowoli przypomniła mi obrazki z „Wieczorów Rodziny”. Elfryda, mówiąc, naśladowała czarownicę każde słowo i grę twarzy obcej kobiety, która się przyglądała tępem okiem całej tej scenie, choć nie brakło w jej spojrzeniu pewnego zachwyty dla swej dobrodziejki.

Stróż zaś słuchał tego opowiadania z wyrazem wyższości, właściwej urzędnikowi, znającemu instrukcję policyjną, od czasu do czasu uśmiechał się życzliwie a ironicznie — i zaznaczył:

— Tak świergotała ta śliczności panienka — ale ja przecież wiem, co robię — i muszę słuchać naczalstwa — a włóczęgów nie puszczać! Toć ja wiem, co za jedna ta stara Wikta...

— Wikta! — pomyślałem i baczniej się zacząłem przyglądać kobiecie...

— Jeszcze dziesięć lat temu — to to wyglądało inaczej! Ubierało się, jak marmuzela, a włosy, co ich teraz prawie że niema, malowała galancie na żółto i mieszkała we trzech pokojach... Ale jak się to zestarzało, a stało się niezdolne niby już do tej zabawy, to ją facety przepędzili — i teraz to tylko czasem gdzie pijany żołnierz jej się trafi, co jej da dychę. I tak z rozpaczy pije i włóczy się po ulicach, zamiast — by to zostać śmieciarką, albo inny uczciwy proceder prowadzić.

— O, jaki to zły, niepoczciwy człowiek! I nie wiem, czego on chce od tej nieszczęśliwej kobiety! Przecież ona nie winna, że dzisiejszy ustrój społeczny powoduje nędzę! Gdyby ten ustrój zmienić na inny — lepszy, to odrazu cały świat inaczejby wyglądał i nie byłoby takich strasznych kategorii! Ale tu nie o to idzie; tu trzeba pomóc tej kobiecie, ocalić ją od nędzy i upadku: pan się tem zajmie — nieprawdaż, panie Karolu! Właśnie, kiedym z nią rozmawiała, patrzę, aż tu Nr. 27. Myślę sobie: w tym domu mieszka pan Karol. Zobaczymy, czy on ma serce! Więc zaraz poprosiłam tego człowieka...

— Już to widać, że panusia ma dobre serce, bo i tej kobiecie dała pół rubla — i mnie pół rubla! Pokornie dziękuję, choć, uczciwszy uszy, dla takiego ścierwa to szkoda było całej tej fatygi...

— No, mój Piotrze, dajcie już pokój. Trzebaby z tą starą coś zrobić: odwieźcie ją do domu przytułku, dam wam tu list do pani N...

Mówiąc to, wyszedłem do przedpokoju, gdzie przyjrzałem się Wikcie. Cierpko mi się zrobiło, a zwłaszcza, gdy naraz ta rozpijaczona twarz starej więdźmy zaczęła mi się przyglądać zezem, wylupiałym, sinyim i podsiniąłym okiem...

— Franek! — zawołała na mnie — i tu jałem błogosławić moją chytrość studencką. Znałem kiedyś tę kobietę, znałem ją przed dwudziestu laty; ona to, starsza od nas, w wolnej miłości żyjąca osoba, w tajemniczyła zarówno mnie, jak i wielu z naszych kolegów, w arkana Erosa. Kiedy dziś patrzę na tę pierwszą moją realizację miłości, zgroza mnie ogarnia i myślę, jak dziwnymi drogami prowadzi nas życie ku prawdzie. Mieliliśmy z Wiktą system taki, żeśmy zmieniali imiona: Władek nazywał się Michałem, Stasiak Jerzym, a ja — Frankiem. Prawdziwe to zbawienie było dla mnie, gdyż coby to było, gdyby ta kobieta знаła moje imię; coby to było, gdyby mnie tak nazwała wobec Joasi; zaiste, nie wiem i myśl o takiej możliwości napełniła mnie zgrozą; w oczach mi się zrobiło ciemno, pobladłem, aż musiałem się oprzeć o ścianę i drżącym głosem niecierpliwie już mówiłem do Piotra:

— Weźcie tę kobietę i wsadźcie do dorożki. Odwieź ją tam a tam, a dorożkarzowi dajcie mój bilet dla pani N. — piliłem stróża, aby jak najprędzej sprawę załatwił. Dałem mu jeszcze rubla za pośpiech — i odetchnąłem dopiero, gdy Piotr z babą znaleźli się za drzwiami.

Wróciłem do swego gabinetu, gdzie w pobliżu drzwi stała Elfryda. Byłem zawstydzony i onieśmiony; poprostu było mi wstyd mojej przeszłości, tego momentu, który mi się dziś wydawał hańbą. I trwoża była we mnie, czy aby Elfryda nie miała jakich podej-

rzeń; czy nie domyśliła się czego. Ale ta łabędzia duża nawet przypuszczeń żadnych nie miała; okrzyk „Franek” przeszedł koło jej ucha niedosłyszany. Owszem, rozjaśniona, dziękowała mi bardzo, z uśmiechem tak czarownym, że cały mój niepokój prysnął, niby mgła. Byłem teraz, jak w marzeniu: sam na sam z tą czystą, ukochaną, słodką dziewczyną.

— Teraz widzę, że pan ma serce. Bardzo się cieszę. Tyle nieszczęścia jest na ziemi — i to wszystko. I gdyby tylko zmienić ustrój socjalny...

Moje drogie biedactwo, ona wierzyła, że ustrój socjalny można zmienić odrazu, byle się tylko ludzie na to zgodzili; ale mnie to sprawiało wielką przyjemność, kiedy ta miła istotka plotła sobie takie kosałki-opałki, i, owszem, jeszcze ją podniecałem. Strasznie urągałem na ten ustrój socjalny i dawałem jej nawet fantastyczne pomysły zmian „tego wszystkiego”. Zgadzała się ze mną doskonale i powoli znikafa jej nieśmiałość w stosunku do mnie. Rzeczywiście sytuacja była wyjątkowa dla tak zwanej panny dobrze wychowanej. Była w mieszkaniu kawalerskim, co prawda, u starego kawalera, ale bądź-jak-bądź wiedziała, że mi nie jest obojętną. To też chciała zaraz uciekać i już mię żegnała; ja zaś dziękowałem jej pokornie za ten zaszczyt, za zjawienie się u mnie, za to rozświecenie moich ciemności i rozcieplenie mojego zimnego mieszkania swoją osobą.

— Ach, jaki też pan szkaradny, żeby mi takie głupstwa opowiadać! Pan mię pewno ma za jakąś gęś salonową — i dlatego mi pan tak pochlebia. Jużbym wołała, żeby pan był cynik, bo mi mówili, że pan jest cynik. Czy pan naprawdę jest cynik? Co to jest cynik?

— Cynik? Nie wiem. Nigdy nie byłem cynikiem. Co pani nazywa cynikiem?

— Cynik — to jest taki, co drwi z miłości i nie

odczuwa miłości. Mnie się zdaje, że pan nie odczuwa miłości.

— Droga panno Joasiu, odczuwałem ją miłość, kiedy byłem młody, ale nie dziś to dla mnie o tych sprawach myśleć.

— To pan już taki stary?

— Ojcem pani mógłbym być...

— Ha, ha, ha! To zabawne... Wcale, wcale nie mógłby pan być moim ojcem, tylko...

— Tylko...

— Tylko... Kiedy pan nic nie rozumie. Pan jest bez serca. Czasem to ja pana bardzo nie lubię... O, jaki tu u pana nieporządek...

Tu Elfryda zaczęła mi pokazywać braki mojego mieszkania, które mnie się wydawało bajecznie czystem i eleganckiem. Ale ona wskazała mi tysiące braków i niedostatków. Na ścianie wisały obrazki Stycznia i kilku innych moich znajomych malarzy, a nadto ośm lub dziesięć fotografii kobiecych.

— A to co za kobiety? To pewno pańskie kochanki. Czy pan się kiedy kochał? Czy pan się naprawdę kochał? Niech pan mi powie.

Opowiedziałem Joasi parę *ad hoc* upiękuszonych historyjek, w których mniej więcej bohaterko występowałem. Niektóre pomiąłem: wspomniałem Czesię, Jadwigę, Wandę, Maryłę — wreszcie najdłużej zatrzymałem się nad historją Julji, której fotografia zresztą była ukryta w biurku — i nie wisała na ścianie. Była to, rzeczywiście, tragiczna sprawa, choć niezmiernie prosta. Julja była żoną mego kolegi — i kochaliśmy się z nią bardzo gorąco, ale razem bardzo czysto i szlachetnie: gdyż niemniej kochałem jej męża, który o tej miłości wiedział i który owszem dał nam wolną drogę do postępowania. Wiedzieliśmy, że pójść za popędem serca, byłby to dla męża Julji wyrok śmierci — i że on oczekiwał tego wyroku z najwyż-

szym niespokojem. Otóż ani ona, ani ja nie chcieliśmy do tego dopuścić — i postanowiliśmy się rozejść. Jakóż rozeszliśmy się na zawsze z sercem obolałym. Mówiłem o tem z prawdziwym wzruszeniem — i naraz usłyszałem spazmatyczny płacz Elfrydy. Widoczne było, że ją ta historia rozrzewniła do głębi.

— O, jaki pan był nieszczęśliwy! O, jakże to piękne! Pocieszenie panu jest konieczne!

Widziałem, że Joasia całą tę historję o Julji przенiosła niemal na dziś lub najbliższe wczoraj — i przepięła ją w swoim własnym liryzmie. Siedziała przy mnie na fotelu, w niebieskim płaszczu i kapelusiku czarnym filcowym, przystrojonym w różę herbaciane.

Było mi tak dobrze, rozmowa nasza była tak serdeczna i słodka, że czułem się niesłychanie młody i naiwny. Z lekka cała ta rzewność zaczęła mi się wydawać nieco śmieszna. Chochlik jakiś podsuwał mi grzeszne myśli. Ale odpychałem te myśli od siebie. Owszem — postanowiłem zachowywać się surowo dla dwóch powodów: naprzód, aby nie angażować się na żaden czyn, któryby w przyszłości mię wiązał, a powtóre — na wypadek, gdyby Elfryda miała zostać moją żoną, chciałem, aby weszła do mego domu, jako *virgo immaculata* *), najmniejszym pożądaniem ani dotknięciem nie splamiona.

Postanowiłem być wobec niej czysty bezwzględnie, choć czułem, że w tej czystości jest więcej cynizmu, niż gdybym się oddał temu, co było we mnie istotnie. Byłoby najwłaściwszem wytrwać w tej obłudnej i cynicznej czystości, ale mię opanowała wiosna i naraz stałem się, jak młodzieńczyk, który własną wolę zatracił.

Elfryda wstała i zaczęła się żegnać. Twarzyczka jej biało-różowa, wcale nie klasyczna. owszem niezu-

*) Dziewica nieskalana.

pełnie regularna w rysach — ale niezmiernie ładna — zdała mi się nagle zjawiskiem, którego niewolno oglądać bez pocałunku. Niespodzianym ruchem ująłem Elfrydę wpół i pocałowałem ją w to miejsce, gdzie koło ust formują się dołeczki. I oto stała się rzecz, której w głębi duszy oczekiwałem.

Jej jasne oczy zablęskły tak, że zdawały się jak płomienie. Spojrzała na mnie z niesłychaną pogardą królowej obrażonej — i bez słowa pożegnania opuściła moje mieszkanie. Szczególna rzecz, byłem z jej postępowania bardzo zadowolony — i, choć w duszy mię to bawiło, przybrałem maskę człowieka, uderzonego piorunem. Zwłaszcza ta maska utrwaliła się, gdy po małej chwili usłyszałem dzwonek. Otworzyłem: weszła Elfryda, niemniej surowa i pełna powagi, jaką miewają królowe w bajkach dla dzieci — i powiedziała te słowa:

— Zapomniałam parasolki.

Z zimną powagą wręczyłem królowi parasolkę, ukłoniłem się jej sztywno; ona zaś, wzięwszy zapomniany obiekt, wyszła krokiem dumnym, w którym znać było, że serce ją boli z rozczarowania.

— Stało się! utraciłeś mię na wieki! — tak mówiło całe jej zachowanie.

Gdym znalazł się w samotności, zacząłem rozważać, czy nie stało się dobrze. W istocie bowiem małżeństwo moje z tem dzieckiem byłoby absurdem: w ten zaś sposób nie ja zerwałem z nią, ale ona ze mną. Stałem się wielkim optymistą. Logika zdarzeń była dobroczynna. Jutro wyjeżdżam nad Dniepr; pójdę tylko przedtem pożegnać się do pani Marskiej.

W jakas godzinę potem zjawił się u mnie Stasiak. Byłem przekonany, że mnie przychodzi wyzwać na pojedynek w obronie honoru swej shańbionej siostry. Nic jednak o tem nie wiedział.

— Szanowny kolego! — rzekł — mam tragiczną historję. Pewna kobieta, uważacie... Miłość ognista, *rendez-vous*, upojenie najwyższe, a tu — patrzcie — golizna zupełna! Potrzeba mi nagwałt pięćdziesięciu rubli. Jeżeli mi nie pożyczycie — muszę skończyć samobójstwem...

IV.

Wkrótce wyjechałem nad Dniepr. Nie będę opisywał swego tam pobytu, gdyż to do rzeczy nie należy.

Cały się oddałem pracy przygotowawczej co do budowy mostu w powiecie N., gubernjum Czernihowskiego. Naprzemiany siedziałem w kancelarji swojej lub też byłem w rozjazdach, czyniąc pomiary i projekty.

Starałem się zapomnieć o Joasi, ale, rzecz osobliwa — coraz bardziej mi się przypominała jej postać, a zwłaszcza jej wizyta u mnie, zakończona tak nieszczęśliwie, czy też tak szczęśliwie — pocałunkiem. W wyobraźni sprawa ta przedstawiała mi się z ciągle rosnącą mocą, jako coraz okropniejsza zbrodnia. Skutkiem tej zbrodni — zdawało mi się czasem, żem utracił na wieki jedyną cudowną sposobność do szczęścia. Czasem naodwrot wydawało mi się, żem ocalił i ją i siebie. Jednakże tu na tej dalekiej Ukrainie taka we mnie nastąpiła zmiana, że mój nastrój sceptyczny jakoś pierzchał — i stawałem się melancholijno-marzycielski.

Czynilem sobie wyrzuty, żem wyszedł ze swej roli czystego cynizmu lub też cynicznej czystości i żem przez swój studencki postępek sprofanował to właśnie, co chciałem mieć kryształowem.

Przed wyjazdem byłem z pożegnaniem u cici. Elfryda miała również kufty spakowane. Dowiedziałem się, że wyjeżdża do rodziców na wakacje. Pożegnała się ze mną lodowata i niewzruszona. Nosek jej tylko drgał nieco, a oczy, przesłonięte rzęsą, w dół opuszczone — były niewidzialne. Twarz miała bladą i dumną, jak figurka z Tanaury. Ponieważ całą tę sprawę traktowałem w jakiś szczególny sposób, jakby to była historia nie realna, ale prosto fantazja na fortepian, przeto, choć mi ta przygoda była przykra, to jednakże jej bieg interesował mię, jak zabawna nowela, dotycząca rzekomo trzecich osób. I ja też z surową powagą, niby to żartujący, niby obojętny — pożegnałem Elfrydę.

Dodać muszę, że p. Elizy nie widziałem, gdyż leżała w swoim pokoju w łóżku — i była „nieswoja“; mdłości, torsje, omdlenia ją nawiedzały; wogóle choroba zdawała się dość niewyraźna — i doktor dotąd nie określił jej nazwy.

Żyłem tedy na dalekiej ziemi naddnieprzańskiej, cały zajęty matematyką, ale w istocie moja myśl była gdzieindziej — była daleko — i krążyła koło Pogoryszek, wcale nieznanego mi miasteczka, ale które, mimo to, kochałem, gdyż tam mieszkała... ona... Miałem jej liściki, miałem jej rysunki — i nieraz je przeglądałem, jakby to była niewyczerpana kopalnia marzeń. Na południowym słońcu tutejszem stawałem się coraz bardziej studencki. Minęło parę miesięcy. Nadchodził listopad. Znakomita część mojej pracy była już wykonana — i zamierzyłem niedługo na pewien czas pojechać do Warszawy. Byłem teraz często poza domem, jeździłem po brzegach rzeki, już to po stronie miasta N., już to po drugim brzegu, gdzie często nocowałem w chatach włościan ukraińskich, w chatach, czysto wybielonych, zdobnych w rozmaite malunki, z ogród-

kami, pełnemi słoneczników. Wieczorami gościnni gospodarze śpiewali mi pieśni i grali na bałabajkach.

Widok szerokich bezbrzeżnych pól, z lasami na dalekim widnokregu, ogromne czerwone księżycy, wiatry już szumiące jesiennym powiewem, ale ciepłe i przyjemne — wszystko to wciąż rzewniejszy budziło we mnie nastrój. Sny ukazywały mi Joasię w coraz piękniejszych, w coraz bardziej anielskich postaciach.

Właściwie nie należy nigdy myśleć o tem, co stracone. Ale czy są na świecie rzeczy bezwzględnie stracone? Oto właśnie, żem nie wierzył w stratę — wspominałem tę moją wizję rusańczaną.

Zaczynam wierzyć, że nasz kolega, Jan Podobłoczny, który się w ostatnich czasach zajął okultyzmem, ma słusność. Istnieje zapewne nieświadoma komunikacja dusz na odległość. Przekonałem się, że Elfryda nie przestała myśleć o mnie, choć jeszcze była na mnie rozgoryczona.

Pewnego razu, wróciwszy z chutoru do miasteczka, znalazłem kartę pocztową. Karta była czerwona, a na niej ręcznej roboty akwarelka z podpisem: *widok Pogoryszek* (lasek, rzeczka, domki, kościółek), zaś poniżej wiersz bezimienny, który przepisuję dosłownie:

Ukochałam w tobie to, co boże,
Twoich marzeń idealny zdroj;
Ukochałam myśli twoich zorzę —
Przewodnią mi gwiazdą był duch twój.
Dziś nie wielbię cię, nie czczę, nie wierzę:
Rzucam święty twej kapłanki próg —
Bo poznałam w tobie jeno.....!
A myślałam, żeś wielki, żeś bóg.

Na boku napisane było jeszcze: *Exegi!* wielkimi literami.

Wiersz może niezupełnie jasny i nie wszędzie odpowiadał warunkom prozodji, ale niewątpliwie był to owoc długich rozmyślań i pewnej namiętności. Z pi-

sma, oczywiście, poznałem, kto był autorem, raczej autorką tego listu; niemniej i treść jego, piorunująca i groźna, doskonale odpowiadała moim marzeniom.

Wiersz, jak okazało się później, był plagiatem; jest to przepisany i przekreślony dowolnie utwór jednego z poetów współczesnych. — Zaznaczam to w nawiasie.

Liścik ten i rozrzewnił mnie i zabawił. Moja laleczka chciała zabawić się w Junonę — i wyrazić mi raz jeszcze swą niezgłębioną pogardę dla mojej osoby... Z drugiej strony nie domyślałem się wcale, że ona we mnie widziała tyle wielkości, tyle boskości i innych cudów. Okazuje się, że trzeba mieć odpowiednie oczy, aby widzieć bóstwo tam, gdzie go niema. I ten ból rozczarowania — o moja słodka, pieściwa gołąbko, jakżeś ty nieszczęśliwa, żeś utraciła wiarę w swego boga! Żal mi cię bardzo, ale bądź pewna, że się dostroję do twoich wyżyn.

Nie, ta osóbką dziwy ze mną wyprawia. Muszę się stać wielki, muszę w sobie zogniskować boskość, muszę w sobie zwalczyć *kropki*... inaczej wszystko będzie stracone!

Byłem tego wieczora bardzo wesoły i zadowolony: już czułem się podniesiony wysoko ponad... i już marzyłem o spotkaniu z Joasią w Warszawie.

W niedługim czasie potem byłem już z powrotem w swoim starym mieszkaniu. Było po wakacjach; nazajutrz zaraz spotkałem się ze Staśkiem, który miał jakąś sprawę honorową i na jej konto pożyczył ode mnie 25 rubli. Dowiedziałem się od niego, że Joasia za parę dni wraca do cioci.

Jakoż zdarzyło się bardzo fortunnie, że i Elfydę spotkałem na ulicy. Uśmiechnęła się do mnie czarownie i słodko, jakby zapomniała o swojej roli — obrażonej bogini, ale wnet odęła buzię i zaczęła być lodowata.

Dziękowałem jej za pamięć i za tę kartkę czerwoną z malowaną i z wierszykiem: wiersz, choć tak gorzki — piękny jest i podniosły, wyrzut słuszny i niewątpliwie ten, do kogo słowa były zwrócone, pod wpływem tych cudownych słów się zmieni i z *kropek* stanie się na nowo bogiem.

Joasia szczerze była zadowolona tą tyradą, prawdopodobnie słabo odróżniała sztuczność od prawdy, choć i ja tak byłem rozradowany spotkaniem z Joasią, że i we mnie sztuczność stała się mimowoli prawdą. Pragnąłem zostać bogiem — nagle, bez wysiłku, cudem, aby... właściwie, aby sprawić przyjemność Elfydzie.... Czy istotnie tędy prowadzi droga do boskości — wąpiliby o tem zapewne ci starzy cynicy, którzy się zbierają na kolacjach u p. Wincentego, ale ja w tym momencie przestałem być cynikiem, byłem na nowo młody i odmłodzony, czułem się zakochany, jak student, choć, co będzie dalej, o tem nie myślałem. *Amaban amans amare* — jak mówi ś-ty Augustyn.

— To, co pan wie... wtedy u pana... to było bardzo brzydkie. Ale ja... pana lubię. Tylko musi pan się zmienić i być tak, jak przedtem. Tak mi przyszło na myśl napisać ten wierszyk, choć ja sama nie pisuję wierszy, ale jaki pan jest mądry, że się pan odrazu domyślił, że to ja napisałam.

— Przez intuicję...

— Czy pan o mnie kiedy myślał? Pewno pan o mnie zapomniał zupełnie! Co ja dla pana znaczę? wy wszyscy jesteście jednakowi. Stasiak już się teraz w piątą pannę kocha, a zawsze na wieki, zawsze jedyny, pierwszy i ostatni raz, zawsze aż do śmierci. Ale teraz to Stasiak kocha się w bardzo bogatej panie. Jabym go tam nie kochała: szalapat, zmienia się co chwila i strasznie się zadłuża: tatuś musiał za niego 700 rubli długów zapłacić, a jeszcze futra mego nie

wyкупił z lombardu ani zegarka... Ale czy pan wie, co za nieszczęście mamy z panną Elizą?

— Cóż się stało?

— Nie, nie mogę panu powiedzieć, bo to sekret. W każdym razie panna Eliza jest bardzo chora, ale to wszystko przez ten ustrój społeczny. Niech pan do nas zajdzie: ciocia będzie bardzo rada.

* * *

Kiedym już się pogodził z Elfrydą i kiedy już na nowo ją zobaczyłem, jako nieutraconą, ale owszem jakby odzyskaną, znów obudziły się we mnie wątpliwości i wszystkie marzenia, które mi ozłacały samotne wieczory nad brzegami Dniepru — przysły nagle i zupełnie z innej strony mi się ukazały. U p. Wincentego powitano mnie bardzo serdecznie: niektórzy mię uważali, jakobym już był pogrzebiony, ożeniony, zamarty — i na nowo rozpoczęły swoje złośliwe opowiadania o kobietach. Choć były wśród tych opowiadań niektóre bardzo zabawne, to jednak, gdy się znalazł sam na sam ze sobą, doszedłem do takiego wniosku:

— Wszystko, co oni mówią, może być prawdą: ale Joasia jest zupełnie inna, jest to wyjątkowa, jedyna kobieta — i na całej ziemi nie znajdzie się druga, do niej podobna.

Formuła ta stała się dla mnie tak oczywiście prawdziwa, że mi się wyrzyła w duszy, jako zasadniczy aksjomat mego życia. Dalszych wniosków jednakże z tego nie wyciągałem; tylko mi ciągle błędził wierszyk:

„Gdybym był młodszy, dziewczyno!...”

i byłem szczęśliwy, zem taką wyjątkową, jedyną w życiu spotkał. Wszystko, com w Joasi zauważył, jej pozostać, jej głos, jej słowa, jej myśli, uśmiech, postępo-

wanie — wydawało mi się nieskończenie harmonijnem — doskonałem, wyjątkowem, jedynem. Nie, ten cynizm moich przyjaciół, zresztą i mój własny — to przecież ślepotą i nic więcej. Poprostu przejrzałem i stałem się jasnowidzący.

Spotkałem się kiedyś z Janem Podobłocznym, który, choć bywał na naszych zebraniach, to jednak miał odmienne pojęcia o miłości, gdyż kochał się raz jeden tylko w życiu, i żona jego — jak mówił — była nadzwyczajnym medjum miłosnem. Nie objawiając mu tajemnicy, pytałem go dyskretnie o pewne fenomeny psychiczne, jak je rozumieją okultyści — i z jego objaśnień dowiedziałem się, że wszystko właśnie odbywa się tak, jak u mnie: nadzwyczajne przeczuwanie, jasnowidztwo, odczuwanie na odległość, wyjątkowa promiennosc widzeń sennych i t. d. Świat mi się ubarwił tak jaskrawo i żywo, jakbym dopiero wchodził w życie — i nie było dla mnie niespodzianki, którejbym nie oczekiwał w sposób najspokojniejszy. Im rzecz była dziwniejsza, cudowniejsza, tem mi się zdawała bardziej naturalna i istotniejsza, tem zgodniejsza z wewnętrzną logiką zjawisk. Nieraz o czem zamarzyłem, natychmiast się urzeczywistniało, jakby moje marzenie było właśnie wolą fatum.

Jeżeli mówię — nieraz, to przesadzam; zdarzyło się to raz jeden. Siedziałem kiedyś u siebie i marzyłem tak:

— Jakby to było ładnie, gdyby tu znów się zjawiła Elfryda.

I oto dał się słyszeć dzwonek; biegnę otworzyć drzwi — w progu stała Elfryda. Byłem nad wyraz szczęśliwy: jakiś dobry bóg mię wysłuchał! Elfryda była blada, zmieszana, niespokojna. Płaszczyk miała na sobie ciemny, aksamitny, rodzaj futerka i białe boa z piór na szyi; kapeluszek czarny słomkowy nosiła niezupełnie równo szpilką dużą przekłuty, jakby nie mia-

ła czasu przybrać się należyście. Oczy miała podczerwienione, jakby płakała. W pierwszej chwili przypuszczałem, że — jaka scena z ciotką, albo może Stasiek przykrość jej zrobił: słowem, niespokojnie patrzyłem na tę ptaszynę, w której sercu widocznie kołatało jakieś niespodziewane nieszczęście.

— Panie! — zawołała, wszedłszy do mego gabinetu — musi pan mię ratować... to jest nie mnie... Dziecko... Właściwie nie dziecko, bo jeszcze niema dziecka... To ten rudy malarz, co wygląda jak bandyta — wszystko przez niego.

— Niechże się pani uspokoi, na miłość Boga... Nic pani nie rozumiem... Co się stało?... Może szklanekę wody...

— Dobrze, niech mi pan da szklanekę wody.

Natychmiast wykonałem jej życzenie, a gdy się uspokoiła, zacząłem ją pytać, co się stało.

— Eliza! — powiedziała mi na to — i zrozumiałem wszystko. — Pan wie, że Eliza długo była chora, a nikt nie wiedział, co jej jest, bo doktor nawet ciotci nie chciał powiedzieć. Ale teraz to już nie można ukrywać, bo wszystko się ujawniło — i Eliza sama powiedziała. Ona jest shańbiona, a to wszystko przez tego malarza, co do niej chodził nocami przez okno. I teraz ona jest brzmienna (powiedziała to surowo i mocno, jakby podkreślając swą odwagę i świadomość, że wymawia takie słowo) i będzie miała dziecko — i to bardzo niedługo. Jak tylko ciotcia się o tem dowiedziała, to się wielce rozgniewała i powiedziała: Taki skandal w moim domu! Nie można pozwolić! Eliza nie będzie już u mnie! Niech sobie szuka gdzieindziej przytułku, nie u mnie — i t. d., i t. d. Nie dziwię się ciotci, bo to kobieta staroświeckich przekonań, zresztą bardzo szanowna, ale nie rozumie, że temu wszystkiemu jest winien ustrój społeczny. Ale tymczasem trzeba przecież ratować pannę Elizę, nie

można jej tak zostawić: choć ona trzymała się dotąd bardzo dobrze i ukrywała swój stan zęczenie, ale ostatecznie już zapóźno. Pan rozumie, że musiałam tu zwrócić się do kogoś zaufanego o pomoc. Niech pan się nie dziwi, że ja to wszystko mówię tak otwarcie, ale pan zrozumie, że teraz nie czas na fałszywe ceremonje. Ja teraz już jestem dorosła i wszystko wiem, co należy wiedzieć. A co do pana, to mam nadzieję, że pan swego błędu nie powtórzy i że pan zachowa się...

— Nie tak, jak wtedy... — zauważyłem półironicznie.

— Właśnie, żadnych kropek...—odparła z uśmiechem.

Muszę wyznać, że mi zachowanie się Elfrydy imponowało: widocznem było, że przez te wakacje dużo myślała i znacznie dojrzała duchowo. Z tego miłego dziecka stawała się wspaniała kobieta.

Całe jej wzięcie się do sprawy z Elizą wydawało mi się nadzwyczaj szlachetnem i czystem w swojej śmiałości.

Naturalnie zająłem się najgoręcej tą nieszczęśliwą damą francuską, która miała taki *accident*.

Sprawa ta wymagała pewnych sum, których nie miała ani Joasia, ani Eliza. Ciotcia wypłaciła swej damie do towarzystwa więcej, niż się należało, gdyż Eliza była bardzo lekkomyślna i wszystkie swoje dochody wydawała na fatalaszki, tak, iż właściwie była zadłużona u ciotci. Jednakże pani Marska, wobec fatalnej sytuacji, dała jej sto rubli.

Owóz zająłem się tą sprawą gorąco. Wszystko to robiłem dla Joasi — i sprawa Elizy wydała mi się naraz tak nieskończenie ważną, jak żadna inna. Zaniedbałem na parę dni nawet swoich prac inżynierskich — i krążyłem nieustannie między instytucją, gdzie umieściłem Elizę (dyskrecja zapewniona), a domkiem pani Marskiej.

Ciocia była mocno zgorzonna tem zdarzeniem, ale że była to wielce dobra kobieta, więc się interesowała losem swojej dawnej panny do towarzystwa, którą bardzo lubiła, gdyż Eliza była to osoba niezmiernie miła, temperamentu południowego, pełna żywego polotu i dowcipu. Temperament ją gubił: mówiła mi ze śmiechem, że zawsze sobie przysięga, że będzie *très sage, très sage!* *) i nigdy się jej to nie udaje, co parę lat musi jakieś głupstwo zrobić.

Byłem kilka razy u jej opiekunki: Eliza wychodziła do *parloir'u* w ubraniu quasi-szpitalnym; oczy miała zawsze wielkie, czarne, błyszczące, ale twarz wynędzniała, pożółkła; miała w sobie szczególną kombinację przygnębienia z powodów socjalno-jurydycznych swej sytuacji, z tą osobliwą, roślinnego niemal charakteru radością, jaka błyszczy w spojrzeniu kobiety, która ma zostać matką.

Ta smukła niegdyś postać, dziś zdeformowana, robiła na mnie przykre wrażenie i niewątpliwie uciekałbym zawsze po paru minutach, gdyby nie to, że mi towarzyszyła Elfryda, która z rozrzewniającem współczuciem przypatrywała się swej przyjaciółce.

Te szczególne odwiedziny powtarzały się kilkakrotnie, co mi pozwalało ciągle niemal obcować z Joasią. Oczywiście, było mi to nad wyraz przyjemne, choć nie przypominam sobie, żeby kto z zakochanych bywał w takim groteskowem położeniu, odwiedzał ze swą ubóstwianą jej przyjaciółkę, która ma nielegalnie zostać matką — *Shocking!* A jednak tak było — i sprawiało mi to niezmierną radość, gdym widział, jak delikatnie i życzliwie Elfryda zachowywała się wobec nowego, na świat wschodzącego życia. Było w niej samej jakieś słodkie i rozkoszne upojenie, niby przecucie macierzyństwa, niby zwiastowanie przy-

*) Bardzo stateczna.

szłych nowych istnień, których ona byłaby rodzicielką. Elfryda już kochała to nieistniejące dziecko, może więcej, niż jego rodzona matka, która miała rozmaite powatpiewania co do potrzeby tego zjawiska.

Eliza w istocie bardzo ironicznie traktowała zarówno tego przekłętęgo dzieciaka, jak i jego papę — tego bandytę-malarza, co godzinami stał pod latarnią, patrząc w okno Elfrydy.

Gdy jednakże się okazało, że Elfryda nie jest tak dostępna, jak młody człowiek przypuszczał, bandyta pewnego razu na ulicy zbliżył się do Elizy i zaczął z nią rozmowę o Elfrydzie: tymczasem z rozmowy tej wynikły rezultaty wcale nieoczekiwane. *Cette canaille* zmienił nagle swój afekt i zaczął flirtować z Elizą; był to, jak mówiła Eliza, *un brute*, ale miał w sobie *un diable*, i oto *enfin*, jakoś, kiedyś, coś — zaczęło się, a skoro się już zaczęło, to, koniec końców, trzeba było dojść do końca. Pewnego dnia malarz zniknął i nawet niewiadomo, gdzie się ukrył. Nikt go nigdy nie widział.

— *Nons n'irons plus au bois, les lauriers sont coupés!* *) — zakończyła swoją historję Eliza, która wcale nie traktowała swej sytuacji tragicznie, owszem, nieco operetkowo.

Pewnego dnia powiedziała nam „mądra pani“, że nie może nas przyjąć i że Eliza nie wyjdzie z łóżka. Był to moment krytyczny, który na Joasię oddziałał bardzo przygnębiająco. Zapłakana wróciła do domu i nieustannie wysyłała mnie po wiadomości. Jakoż w parę dni potem, gdym był w azylu pięknej uwiedzionej, usłyszałem wielką nowinę:

— Dziecko się urodziło. Matka jest zupełnie zdrowa, również i nowonarodzona dziewczynka.

*) „Nie pójdziemy już do lasu, ścięte są wawrzyny“... (znana piosenka).

Elfryda znów się rozplakała, tym razem z radości, gdy jej tę nowinę powiedział. Była tak ucieszona, jakby sama została matką.

Jeszcze dwa tygodnie leżała Eliza w przytulku, poczem jednak trzeba ją było odebrać z zakładu i gdzieś prywatnie pomieścić. Eliza z niezmiernym humorem przyjęła swoją córkę, małego, straszliwego potworka, czerwonego, jak raczek, a krzykliwego, jak papuga. Bawiła się nią, jakby lalką, pieściła ją, całowała; słowem, czy to pod wpływem nagłego poczucia macierzyństwa, czy też poprostu dlatego, że się pozbyła tego ciężaru, co jej łono deformował — stała się niezmiernie tkliwą matką. Dodam, że po tem przejściu bardzo wyładniała, i pod niebieską kołdrą, w białym staniku i białej zasłonie na głowie, wyglądała poprostu uroczo.

Nie dziw też, że ją Elfryda całowała, uszczęśliwiona, że się narodziło dziecko, i że jego matka jest taka piękna. W Joasi też dziewczynka znalazła czarującą opiekunkę, pełną miłości i tak gorliwą, jakby już się z dzieckiem nigdy miała nie rozłączyć. Początkowo Elfryda prosiła ciocię, aby wzięła do siebie Elizę z powrotem. Ale ciocia nie chciała na to żadną miarą przystać: rygor jej moralności byłby nieustannie gorszony widokiem dziecka, nie zapisanego w odpowiedniej kancelarji, na odpowiednim stemplowym papierze. Ostatecznie, zacna staruszka pogodziła się z faktem, pragnęła nawet zobaczyć dziecko Elizy, odwiedziła ją w przytulku, ale nie mogła żadną miarą na to przystać, aby to zgorszenie w domu jej było wciąż obecne.

Raz jeszcze ofiarowała dwieście rubli, aby Elizie umożliwić paromiesięczną egzystencję, ale zastrzegła sobie, żeby ta gdzieindziej wynajęła mieszkanie. Elfryda na chwilę miała ideę — dość naiwną — abym ją Elizę pomieścił u siebie, ale pomimo całego mego

afektu dla tej cudownej istoty — nie zgodziłem się na to.

Sam jej wynająłem pokój u jakiejś zacnej kobiety — i tam też się wprowadziła razem ze swoją córką.

Nawiasem mówiąc, byłem zadowolony, że już się ta sprawa skończyła. Miałem już tego dosyć. Niechże się teraz Eliza sama zajmuje swoim dzieckiem. Jednakże cały ten osobliwy okres nie był dla mnie bez przyjemności: skutkiem tych ciągłych odwiedzin Elizy nastąpiło między mną a Joasią takie zbliżenie i taka serdeczność, że właściwie różnicy wieku między nią a sobą już nie czułem i zupełnie naturalnem wydawałoby mi się, gdybym się z tą osobką ożenił.

Mimo to jednak nie mogłem się zdecydować. Cała sprawa z Elizą nie pozwoliła mi na to, com postanowił jeszcze w N., aby na nowo w sobie rozbudzić bóstwo, jak tego pragnęła Elfryda. Istotnie, ciągłe wizyty u akuszerki, odwiedzanie położnicy, poszukiwanie mamki i t. d., są to wszystko działania bardzo zacne, ale bynajmniej nie pomocne w pracy nad wywoływaniem w swej duszy boskości. Bezwarunkowo, w ciągu tego miesiąca czasu byłem tak zajęty, żem nie mógł szukać bóstwa, a zapewne ta trocha, com ją posiadał, wyparowała ze mnie i ulotniła się, niewiadomo jak i gdzie.

I oto sprzeczność losów ludzkich: Elfryda, która żądała ode mnie, abym został bogiem, przez swoje zajęcie chorą przyjaciółką przeszkodziła mi w osiągnięciu boskości.

I cóż tu zrobić? Takem się przyzwyczaił do obcowania z Elfrydą, że było mi zupełnie niepojętem, jak będe istniał bez niej.

Zapewne, myśl połączenia się z nią na zawsze był to egoizm z mojej strony, ale niemniej egoizmem była myśl rozłączenia się, aby nie zmieniać warunków mego dotychczasowego życia.

Pytanie: dlaczego nie mam wybrać tego egoizmu, który mi daje większe zadowolenie — czyli, dlaczego nie wybrać małżeństwa?

Czy wogóle *horror* małżeństwa nie jest takim samym przesądem, jak samo małżeństwo? Czy wogóle w naszych wielu pozornych sprzecznościach życiowych niema utajonej tożsamości? I dlaczego z pośród wielu utajonych tożsamości nie mam wybrać tej, która ma takie śliczne złote włosy, i takie śliczne niebieskie oczy, i takie dobre, jedyne, wyjątkowe serce?

Odwiedzaliśmy jeszcze nieraz Elizę — i zwykle prowadziliśmy ożywione dyskusje właśnie na temat poszukiwania bóstwa i tożsamości. Joasię moje słowa drażniły, gdyż czuła w nich utajoną ironję, która zupełnie nie odpowiadała jej lirycznemu usposobieniu. To też pewnego razu, gdyśmy szli do Elizy, jakby rozżalona, mówiła do mnie z powodu tego rodzaju ty-rady:

— Omyliłam się na panu. I dobrze, że jesteśmy sami, bo raz na zawsze niech pan wie o tem, że panem gardzę, niecierpię pana, nienawidzę... I że, gdyby pan mię na klęczkach błagał o przyjaźń, albo o co więcej — tobym panu powiedziała: Nie chcę! Idź pan precz!

— Z rezygnacją odejdę... Przeczuwałem, że tak będzie... A więc dziś pożegnamy się na zawsze...

— No, to dobrze... To się pożegnamy... Już ja pana znać nie będę...

I mówiąc to, moja słodka dusza łkać zaczęła tak żałośnie, aż mi serce zajękło. I naraz zaczęła kaszlać, jak osoba, zagrożona cierpieniem płucnem, a tu gruzdzień był w pełni i śniegi już padały. Zauważyłem dopiero teraz, że Elfryda chodzi niedostatecznie okryta, w jesiennym płaszczu.

— Ależ pani jest przeziębiona! Gdzież pani futerko?

— W lombardzie. Stasiak mi je zastawił — odpowiedziała, ciągle jeszcze łkająca i zapiakana — i chusteczką obcierała oczki.

— Ależ trzeba wykupić — czy pani ma kwit?

— Mam — i wyjęła małą portmonetkę, z której kwit wyciągnęła. — Należy się 30 rubli; tu są w sakiewce.

Wziąłem sakiewkę i pytałem, czy woli iść do domu, czy też razem ze mną pójść do lombardu. Wolała odrazu się przebrać. Pojechaliśmy dorożką do zakładu zastawniczego, oboje milcząc, jakby między nami otchłań runęła. Ja grałem rolę człowieka odpalonego — i byłem smutny bez granic; ona zaś wyglądała tak, jakby spełniła surowy, groźny obowiązek, co jednakże sprawiało jej wielkie cierpienie.

Lombard był na jakiejś bocznej ulicy; jaskinia dość podejrzana — i niewiadomo dlaczego Stasiak wybrał właśnie tę instytucję, a nie inną. Jak mi potem Stasiak objaśnił, tu dawali więcej za przedmioty zastawione, ale też procent liczyli ogromny. Ciemne, ciasne, zimne ubikacje, przepełnione liczną, hałaśliwą, niezbyt czystą publicznością — była to owa instytucja, w której się znaleźliśmy. Niemalży czas minął, zanim otrzymaliśmy swój przedmiot, t. j. futro (oraz złoty zegarek). Natychmiast przebrałem Elfrydę, a płaszczyk, który miała na sobie, odesłałem do domu przez posłańca.

Wracaliśmy znowu dorożką, aby do Elizy pojechać.

Chociaż futerko mocno czuć było naftaliną, ale Joasi było ciepło, tak że powoli się uspokajała w swej melancholji. Spoglądała na mnie z wielkim żalem, jakby mówiła: niedobry jesteś...

Wyznaję, żem utracił przytomność. Wszystkie moje żale i tęsknoty tak się jakoś poplątały na widok tej drogiej, kochanej, jedynej, żem zaczął ją bła-

gać, aby się ukoїła, aby mi przebaczyła wszystkie mój grzechy, aby została moją na zawsze, bo ją kocham, ubóstwiam...

Na co ona, nagle błysnąwszy w oku nadzwyczajną błękitną radością, powiedziała:

— Jestem twoją! Zwyciężyłeś!

Masz tobie — a ja sądziłem, że się poddał. Zresztą było mi to wszystko jedno. Byłem niezmiernie szczęśliwy.

Eliza wielce się uradowała z tej wiadomości, a jeszcze bardziej ciocia.

Stasię szczerze wieszował Joasi i mnie porównano, poczem zwierzył mi się, że tę bogatą pannę już porzucił, że znalazł inną, bogatszą i nadzwyczaj piękną, szampańską kobietę — i że na ekspensę tej wyprawy potrzeba mu gotówki, a tu golizna okrutna.

— Kochany szwagrze — zakończył — pożyczcie mi sto rubli. Oddam za tydzień.

TESTAMENT.

Pan Seweryn siedział w swej jadalni starokawalerskiej — przy herbacie wieczornej i kończył zapiski na dzień jutrzejszy.

„W sobotę, o godz. 7-mej, być na posiedzeniu Towarzystwa Spraw Bezużytecznych”.

Gdy już wskazania zajęć sobotnich były systematycznie zanotowane — pan Seweryn wziął do ręki „Kurjer Wieczorny”. Przerzucił swym zwyczajem bardzo szybko artykuł wstępny, przegląd polityczny, telegramy, feljeton, wiadomości bieżące — i od razu dziennik otworzył na tej stronicy, na której mieszczą się zawiadomienia o ślubach i nekrologja, gdyż wogóle najwięcej go zajmowało — kto się ożenił i kto umarł w Warszawie.

I naraz oczy jego padły na następujące słowa: „Ś. p. Leokadja z Orczyków Dunoyer, wdowa po pułkowniku N. ułańskiego pułku gwardji, po krótkich, lecz ciężkich cierpieniach zmarła w wieku lat 51”. Dalej była wzmianka o dniu i godzinie pogrzebu: nikt na ten obrzęd nie prosił. Zmarła widocznie krewnych nie miała: ktoś obcy pewnie zajmował się jej pogrzebem, choć nie była to osoba nieznaną w mieście; owszem, imię jej często figurowało, zwłaszcza w rubryce dobroczynności.

Pan Seweryn, przeczytawszy to nazwisko, aż się podniósł na krześle.

— Tam do licha! Leoska umarła? Nagle! Kto-
by to myślał! Przyszedł na nią czas! Prędko! Szel-
ma była, bo była, ale miała szyk, co się zowie! i gdyby
nie to... Jak to lata płyną! 51! No-no! Ileż to
czasu minęło od...

Zaczął rachować w myśli. Dwadzieścia trzy lata!
Minęło — jak z bicza trzasł. Miała wtedy 28 lat, on
był od niej o ośm lat młodszy. Zbliżał się do pełno-
lecia — i miał wkrótce być usamowolniony przez
opiekę... Chwili tej wyczekiwał z niecierpliwością,
gdyż miał otrzymać należną mu po rodzicach sumę
30.000 rubli, o której nieraz marzył cudownie. Co to
możnaby zrobić za taką sumę! Czasami roił, aby wy-
jechać w podróż naokoło świata — i poznać całą kulę
ziemską. Albo znów chciał założyć wielką gazetę,
któraby miała sto tysięcy abonentów, albo właśnie
rzucić się na drogę przemysłową: ufundować pierwszą
w kraju fabrykę zegarków, o czym wówczas szeroko
pisano. Albo wyjechać na naukę do Heidelberga czy
Paryża: studjowałby naprzykład ekonomję polityczną,
albo wstąpiłby do szkoły rzeźbiarskiej. Albo znowu
kupić majątek ziemski, albo jeszcze lepiej: przedtem
zrobić wyprawę do Monte-Carlo — rozbić bank, z mi-
ljonami wrócić do kraju i rozpocząć nową erę życia
kulturalnego. Czasami jeszcze dalej unosiły go ma-
rzenia: wyjechać do Chin, zreorganizować armję, wy-
robić sobie wpływy na dworze bogdychana, przy po-
mocy wojsk chińskich opanować Syberję, założyć tam
samodzielne państwo i stamtąd zaszachować sąsiednie
imperjum.

Marzył tak rozmaicie. Wreszcie fundusz spad-
kowy otrzymał — i po niezbyt długich rozmyślaniach
złożył wizytę Leokadji Orczykównie, znanej swego
czasu kokocie warszawskiej, jednej z najstawniej-
szych dam półświatka.

Nie był u niej po raz pierwszy; ona go wtajemni-

czyła w arkana miłości. Była to pierwsza kobieta,
która na nim zrobiła potężne wrażenie, gdyż nie liczył
kuzyneczki swojej Zosi, którą kochał jako gimnazysta,
a która już zamaż była wyszła i miała troje dzieci:
stała się z niej tłusta baba.

Przy wszelkich rojeniach o podróżach, studjach,
dziennikarstwie, przemyśle, o Monte-Carlo, Chinach
i Syberji — zawsze wpływała mu, niewiadomo skąd,
postać Leokadji — jako barwny cień, górujący nad
wszystkiem, pełen życia, śmiechu, pocałunków, roz-
koszy, uroku...

Młodzieńcem był i krwi gorącej; ona zaś była tak
foremna, tak *kollipygos*, jak mówią poeci; tak bogate
miała popiersie, tak kasztanowate włosy, taki głos
świergotliwy, takie żywe błękitno-ogniste, uśmiechnię-
te oczy, że nie miał siły opierać się jej wdziękowi... Na
czerwonych jej ustach krążył sardoniczno-dobrotliwy
uśmiech, odkrywający śliczne, białe, zdrowe zęby...

Miała przytem niemały rozum życiowy—instynkt
raczej, że choć w jej wykształceniu były nadzwyczaj-
ne luki — to jednak rozmowę umiała prowadzić inte-
resująco i żywo... Natrafiła właśnie na Seweryna,
kiedy ten naiwnem i pełnem zdumienia okiem stanął
wobec życia i szukał drogi, którą miał iść... Nauka —
przemysł — sztuka — Chiny Leoska! Co za powi-
kłanie! Ale żadna z tych bogiń nie miała tyle wdzię-
ku i — i tyle potęgi, co ta Leokadja...

Zwyciężyła! Zwyciężyła tem, że gdy wszystko
było zagadkowe i niepewne, w niej jednej znajdował
młody człowiek bezpośrednie rozwiązanie (raczej od-
suniecie) tych trosk, które w istocie najwięcej go poru-
szały. Zwyciężyła go równowagą każdego gestu i sło-
wa — i spokojem niepoczytalnej pantery. Ona jedna
była niewątpliwa. Ile razy zjawił się u niej, wszystko
wydawało mu się jasne i proste — wszystkie niepokoi-

je znikaly — i stawalo mu sie oczywistem, ze tu jest wlasnie jego przeznaczenie...

Nie bylo mu tajemem, ze on — Seweryn — wcale nie jest jedynym jej przyjacielem. Leoska wcale przed nim tego nie ukrywala — i on nie byl o jej cnotę zazdrosny. Znalazl sie na tak szczegolnej linii zycia, ze i to wydawalo mu sie zupełnie naturalne, jasne i proste. Przyzwyczaili sie do siebie. Ona z taka latwoscia wyznawala mu miłosc, a robila to tak filuternie i po kociemu, ze on — w jej obecności — wierzył w jej miłosc.

Dopiero później ogarnialo go zwątpienie. Miłosc jego nic a nic nie przypominala mu sentymentu, jaki odczuwal przed pięciu laty do Zosi; również nie byla nic a nic podobna do tych przygod, jakie wyczytal w powiesciach; byla zupełnie inna, bez tych ciaglych niepokoju, ktorzych oczekiwal, bez tego anielstwa i tych „godzin cudu“, o ktorzych mówią poeci.

W duszy jego panowal, rzekłbyś, wielki spokój; cudów żadnych nie odczuwal, ale, mimo wszystko, Leokadja tak go oczarowala, ze nawet na chwile nie przypuszczal, aby mógł inną kobietę pokochać.

Prawie w tym samym czasie, kiedy dochodzil pełnolecia, jedna z jego ciotek zapoznala go z jakas panienka i bardzo go zachecala do małzenstwa. Panienska byla to osiemnastoletnia, rumieniaca sie ciagle, trwozliwa i malomowna dziewczyna, czysta jak lilja, ale — rzecz szczegolna — jej urok niewinności znacznie slabiej oddzialywal na niego, niz urok zepsucia, jakie wialo od Leokadji.

I tu zwyciezyla Leokadja.

To tez, kiedy uzyskal swoje 30 tysiecy, Seweryn zaproponowal swojej kochance wyjazd do Paryza — pod warunkiem wiernosci na przeciąg pozycia wspolnego, ktorogo czas byl nieokreslony... Oboje nie mówili ani slowa o wiecznej miłosci...

Wyjechali. Pobyt w Paryżu byl rozkosznym snem, ale snem niedluzszym nad trzy miesiace.

Seweryn najal Leokadji piekny hotel na Rond-Point pol Elizejskich, kupil jej powozik i konie, trzy-mal stala loze w Operze i Komedji, a luksusowe urzadzenie domu, zbytkowne *parties de plaisir* poza miasto, kuchnia nadzwyczajna i t. d. — wszystko to razem sprawilo, ze po trzech miesiacach takiej zabawy, gdy Seweryn raz zajrzal do pugilaresu, znalazl w nim ostatnie piecset rubli...

Pierwszy raz w zyciu zaczal sie zastanawiac nad swoja przeszloscia, a zwlaszcza nad temi trzema miesiacami, ktore minely jak jeden dzien — i nad ta scheda po rodzicach, ktora sie rozplynela i rozwiala w nicość.

Trzeba dodac, ze na pare dni przedtem mlody czlowiek uslyszal, mimowoli, rozmowe Leosi z woźnica, ktorogo przyjal do sluzby. Byl to czlowiek bardzo uczynny, ktory obiecywal Leosi zapoznac ja z pewnym wicehrabia brazylijskim, bogatym, jak Brazyljczyk z operetki; ona nader przychylnie go sluchala, dodajac, ze „ten pan“ (niby on, Seweryn) juz jest *au bout* i niedlugo nie bedzie mial nic... Znajomosc wiec z wicehrabia byla dla niej wysoce pozadana i zupełnie na czasie...

To jawne złamanie warunku wiernosci smetna prznia pugilaresu — do zywego wzburzyly Seweryna.

Tegoz wieczora, bez pozegnania, opuscil Paryz — i, wyplukany niemal na czysto — wrocil do Warszawy. Po drodze napadl go staly paroksyzm rozmyslania nad tem, co zaszlo miedzy nim a Leokadja; tragicznie malowal sam przed soba swój upadek moralny i materialny, a wlasciwie naprzód materialny, a potem dopiero moralny...

— Bazarnica — mowil sam do siebie nie bez patosu — zycie mi złamala...

Przypomniawszy sobie teraz jej kłamstwa, jej trywialność, chciwość, rozrzutność, zepsucie...

— Zdeprawowała mnie. — Ach, gdyby spocząć u jakiej czystej dziewicy! Czemużem nie posłuchał ciotki?...

Nędza mię czeka. Co ja zrobię?

Stało się. Czuł, że powoli w jego serce wsiąka gniew i nienawiść do tej kobiety, co go poprostu wysłała do szczytu. Wobec nędzy, którą widział przed sobą, czy mógł nawet myśleć o uniwersytecie lub szkole rzeźbiarskiej, o założeniu fabryki, lub dziennika, o podróżach — które są tak doskonałym środkiem rozwoju umysłowego, wreszcie o wyprawie do Chin, z którą poprostu związaną jest cała przyszłość tego kraju!

Wszystko stracone. Trzeba dodać, że nienawiść do Leoski nie odrazu w jego sercu osiągnęła swoje maximum. Powoli dopiero, w miarę coraz większych przykrości życiowych — zmieniła się ona jak gdyby w oś jego istnienia. Cokolwiek się stało, w jego umyśle łączyło się z postacią tej kobiety — i z ich pobyt w Paryżu.

Długo borykał się z losem, aż nakoniec, po wieloletnich usługach w fabryce grzebieni, osiągnął jaki taki dobrobyt. Miał 1500 rubli rocznie, ale czterdziestka była za pasem i nieraz w samotności rozmyślał o małżeństwie.

Nie udawało mu się jednakże. Biała lilja, którą mu swatała ciotka, wyszła zamąż; w krainie panieńskiej wieść nie tyle o jego romansie z Leokadją, ile o stracie majątku — rozeszła się lotem błyskawicy — i bardzo obniżyła jego walor: był teraz marnym grzebieniarzem. Zato panny bezposadne marzyły o nim — i niejedno otrzymał pismo różowe i rzewne, niejedno spojrzenie gorące, niejedno uściśnięcie ręki... Ale to go nie wzruszyło: szukał gotówki, dużej gotówki...

I tak mijały lata.

O Leokadji dochodziły go wieści z różnych stron. Znalazszy się w Paryżu sama jedna — rozpoczęła szerokie życie, jako *femme galante*. Stangret okazał się pośrednikiem dyskretnym i zręcznym.

Po wicehrabi zjawił się lord angielski, po nim *un prince russe*, potem ambasador sjamski i t. d. — Zresztą Leokadja żyła zawsze w poliandrji — i miała zwykle paru przyjaciół.

Żyła bogato, wydawała wiele, ale za mądrą poradą stangreta — znakomitą część swoich skarbów składała w banku. Po pięciu latach pobytu w Paryżu, wróciła do Warszawy — jak mówiono — z wielkim kapitałem. Podobno nabrała wykształcenia i manier wielkiej damy; wiadomo było, że prowadzi życie zamknięte i ciche, burżuazyjne — i tylko czasami wyjeżdżała już to do Nicei, już do Biarritz lub gdzieindziej, skąd powracała, jak mówili złośliwi, z bogatym łupem. Jednego roku wróciła do Warszawy zameżna; mianowicie poślubił ją bawiący w Biarritz dla kuracji N. pułku ułańskiego gwardji pułkownik, Borys Hermogienowicz Dunoyer, człowiek lat 63, bardzo bogaty. Ten z pierwszego wejrzenia zakochał się w Leokadji i w jednej chwili sprawę postanowił. Po dwóch latach pożycia Dunoyer umarł, a wdowa odziedziczyła cały jego majątek, wynoszący blisko pół miliona.

Odtąd życie Leokadji ośłania cisza tajemnicza. Wyjechała, niewiadomo dokąd — i dopiero dziesięć lat temu wróciła znów do Warszawy. — Zajęła się wychowaniem panien, urzędowała u siebie wieczory muzykalno-wokalne, zajmowała się filantropją, popierała różne instytucje dobroczynne.

I naraz — pan Seweryn przeczytał jej imię w nekrologu „Kurjera Wieczornego”.

— Pięćdziesiąt jeden lat... Ja miałem wtedy

dwadzieścia... Zwichnęła moje życie. Gdyby nie ona...

Właściwie pan Seweryn nie wiedział, coby było, gdyby nie ona, ale wyobrażał sobie, że byłoby coś nadzwyczajnego.

Machinalnie odwrócił stronicę dziennika i ujrzał rubrykę: „Ostatnie wiadomości“, niżej zaś tytuł: „Piękny testament“:

„Dnia wczorajszego — pisał „Kurjer“ — zmarła w naszym mieście Leokadja Dunoyer, jedna z najzaczniejszych matron, znana szeroko w sferach filantropji. Cały swój znaczny majątek (około 700.000 rubli) zapisała na cele publiczne, jako to: (tu następowało szczegółowe wyliczenie)“.

Pan Seweryn czytał z pałającą twarzą: mało go obchodzili różni paralitycy, szpitale, sieroty, czytelnie publiczne, ale wstrząsnęło nim i skronie mu zaczęły pulsować, gdy przeczytał ostatni kodycyl testamentu: „30.000 rubli — Towarzystwu Spraw Bezusiecznych“.

Tu nie mógł już wytrzymać. Jednym haustem wypił ostygłą herbatę; przeczytał raz jeszcze, jakby chcąc się przekonać, czy to nie omyłka, zapalił papierosa i zamyślony wstał z krzesła...

Oko mu błysnęło dziwnym ogniem. Szybko wypalił papierosa i niecierpliwie rzucił go na ziemię. Potem zaczął szerokim krokiem chodzić po pokoju — rękę włożył w kieszenie — i naraz śmiać się począł głośno i gorzko — tak, iż sam sobie wydawał się Mefistofeilesem.

— Naszemu Towarzystwu zapisała 30.000!... Ha-ha! 30.000! Moje — moje trzydzieści tysięcy! Co za ironja! Co za wściekła — przeklęta ironja! Sam djabeł jej to poradził!

I znów chodził po pokoju tam i z powrotem.

— Nie — to niemożliwe! Matrona — jedna z najzaczniejszych matron! Podły — przekupny dziennikarzu, wiem ci ja, co to za matroństwo!

Nienawidził ją teraz bardziej, niż kiedykolwiek.

— Czy to umyślnie przeciw mnie skierowane? Czy pamiętała o mnie? Czy mnie chciała nagrodzić? Nie — o tem chyba i mowy niema. Zapisała naszemu towarzystwu — pieniądze — znaczne pieniądze — trzydzieści tysięcy — Ha-ha! Z jakiego źródła pochodzą te pieniądze? Czy nikt o tem nie wie? Ale ja wiem! Z prostytucji. (To wyrażenie bardzo mu się podobało). Tak, z prostytucji! Gdybym jej nie był spotkał w życiu, ożeniłbym się z Joasią albo z Florką — i byłbym dziś człowiekiem wbitnym, wpływowym... Miałbym stanowisko, odpowiednie memu urodzeniu i edukacji... A tak — wykolejony, zdeklasowany, upadły... Parobek ohydnej szwaba — nędzny grzebieniars... I to wszystko przez nią — przez tę przeklętą kobietę! Syrena, co mię wyssała do szczytu i do ruiny doprowadziła! I jeszcze z za grobu „duchowi memu daje w pysk!“

Ta cytata ze Słowackiego wydawała mu się też bardzo zręcznie dobraną. Coraz żywiej podniecał sam siebie.

— Nie, do tego dopuścić nie można! Ja ja znam — ja wszystko wiem — wszystko powiem! Trzeba, aby ktoś stał na straży czystości obyczajów, na straży honoru! Zdemaskuję obłudę tej dobroczynnej matrony! Nasze Towarzystwo nie może i nie powinno przyjąć tych skalanych funduszów.

Tu zatrzymał się na środku pokoju, brwi namarszczył, ręce założył jak Napoleon I, jedną nogę wysunął naprzód — i już roił, jak, przenikniony świętem oburzeniem — stoi na zeromadzeniu jutrzejszem Towarzystwa — i słyszy, jak prezes czyta:

— Panowie, mam do zakomunikowania wieść nader ważną i dla naszego związku bardzo cenną. Oto ś. p. Leokadja Dunoyer — prawomocnym testamentem zapisała naszemu Towarzystwu 30.000 rubli.

Wówczas on, Seweryn, wstanie i powie: — Proszę o głos, — a gdy mu prezes głosu udzieli, taką rzecz wygłosi:

— Panowie! Nie jestem urodzonym mówcą (skromność nie zawadzi) i rzadko kiedy głos zabieram w tem czcigodnym zgromadzeniu. Bywają jednak chwile tak wysokiej wagi moralnej, że i niemi są powołani, by mówić. Taka dziś chwila na mnie przyszła — i oto pozwalam sobie głos zabrać w celu ochrony moralnej tego szanownego stowarzyszenia. Proszę o przebaczenie, jeżeli będę mówił bez ornamentów; jestem człowiek prosty, czytałem w życiu nie jedno, ale nie potrafię tak dowcipnie, jak nasz kolega Miziorrek (ostrego języka Miziorzka trochę się lękał Seweryn: była to *captatio benevolentiae*) cytować pisarzy klasycznych i romantycznych. Jak mówię, jestem człowiek prosty i na skromnym stanowisku, ale kto wie, czy nie miałem wyższych przeznaczeń. Tak jest, panowie! w młodości swojej miałem godzinę, kiedy wielki, piękny, szeroki świat otwierał się przede mną. Złośliwy los jednakże postawił na mojej drodze istotę fatalną, która zwichnęła mi życie... Zresztą nie będę mówił o sobie: jestem dziś — zbiegiem smutnych okoliczności — figurą zbyt nikłą, abym mógł sobie na taki luksus pozwolić. Mam zamiar mówić o naszym stowarzyszeniu, o jego powadze moralnej wobec społeczności — o tem wreszcie, co nasz czcigodny prezes tylko co przeczytał... Słyszeliście, panowie, że niejaka Leokadja Dunoyer zapisała testamentem 30.000 rubli na korzyść naszego związku. Panowie! mam nadzieję, że w tem gronie znajdują się sami ludzie uczciwi. — Jako związek ludzi uczciwych, nie wątpię, że pieniędzy,

z tego zapisu pochodzących — związek nasz nie przyjmie. (Zdumienie powszechne. „Ha-ha! Ho-ho!” Kaszlanie. „Co mu przyszło do głowy? Taka znaczna suma!” Ludzie są podli).

— Kto cię rodzi, dukaciku? (tak mówił dalej w myśli swej pan Seweryn). Przypomnijmy sobie to dawne porzekadło naszych ojców. Zastanówmy się, z jakich źródeł pochodzi majątek zmarłej, z jakich źródeł powstały te jej bogactwa, których cząstkę nam dziś daje? Z jakich źródeł? Mamże o tem głośno powiedzieć, co niejedyn z was już sobie w myśli poszepnął (wstęp dyskretny: *très noble*). — Któż tu — z ludzi nieco starszych — nie wie, kim i czem była nieboszczyca? (Jedna z najzacieńszych matron, ha-ha!) A jeżeli sami nie macie odwagi tego powiedzieć — to ja wam powiem (tu wejdzie na *fortissima voce*). Była prostytutką — była heterą — kobietą publiczną! (Głosy oburzenia — Co on gada? Niech przestanie!) Prawda, że zdobyła wielkie fundusze, ale czem była, tem była. Złodziejem jest zarówno ten, co kradnie grosz, jak i ten, co kradnie milion.

Prostytutką jest ta, co pod płótem umiera śmieciarka, jak i ta, co zebrawszy wielkie pieniądze, zostaje wielką damą, filantropką i matroną! (Dosyć — dosyć! Ma rację! prawda!) Więc jakże, panowie — my, zgromadzenie ludzi uczciwych, czystych, szlachetnych (trzeba durniom pochlebiać) — my przyjmujemy te pieniądze, zrodzone z rozpusty, z grabieży młodych, niedoświadczonych chłopców, którzy mieli wyższe przeznaczenie, a których życie zostało zwichnięte? Pieniądze zrodzone z wyzysku głupoty i zwierzęcości ludzi? Pomyślcie, ile w tych pieniądzach jest łez, wylanych przez siostry, żony, matki, córki tych obłąkanych, co się dali opętać tej hurysie, tej heterze, tej syrenie? Nie — panowie! Towarzystwo nasze nie może przyjąć tego złota, skalanego grzechem! Pano-

wie, podaję wniosek. Odrzucamy zapis Leokadji Dunoyer. Proszę poddać pod głosowanie.

Rzęsiste oklaski. Zachwył powszechny.

— Niech żyje Seweryn! Doskonale powiedział! Powaga moralna naszego związku nie pozwala na przyjęcie tych pieniędzy!

Widzenie to czarowało go. Przekonał oczywiście wszystkich. Był to prawdziwie piękny moment jego życia. Czuł się bohaterem.

— Dziękuję wam, panowie! Spodziewałem się po was meskiego hartu i prawdziwej szlachetności ducha. (Uklonił się z godnością i pogładził wąsa).

Nagle (co już oddawna Seweryn przeczuwał) odezwał się Miziorek, jeden z członków Towarzystwa, stały oponent wszystkich wniosków niepopularnych.

— Proszę o głos—i dalej mówił tak ów sofista.— Panowie, nie zgadzam się na wniosek pana Seweryna, a to dla trzech powodów: jeden natury czysto osobistej, jeden — ogólnospołecznej, jeden powód finansowy. Po pierwsze rzecz osobista. *De mortuis nil nisi bene*. Leokadję Dunoyer będzie sądził Bóg — my nie mamy prawa jej sądzić. To, co mówi pan Seweryn, ma charakter plotki i nic nas nie upoważnia do bezwzględnej wiary w jego słowa. Nie zamierzam ubliżać Szanownemu mówcy, ale każdy się zgodzi, że niema sądu na świecie, któryby potępiać miał oskarżoną na zasadzie twierdzeń jednego świadka. Pan Seweryn mówi, że wszyscy wiedzą to i owo o zmarłej, a ja powiadam, że nikt tu nie wie nic, prócz pogłosek, a w sprawach konduity kobiecej, jak to mówi w jednej ze swych sztuk Dumas-syn — trzeba widzieć, widzieć i jeszcze widzieć — i dopiero wtedy rozumiesz, żeś nic nie widział i nic nie wiesz. Zgodnie z wnioskiem pana Seweryna, przedtem należałoby przeprowadzić badanie śledcze nad życiem zmarłej, a czyliż naszą to jest

rolą, czy jesteśmy w rzeczy tej uprawnieni i kompetentni? czy takie badanie godzi się z naszą powagą moralną, czy nam poprostu wypada to robić? I cóż my wiemy o zmarłej? — Wiemy to, co przedziera się z pod nietykalnej zasłony życia prywatnego — na forum publiczne. Wiemy, że była prawowicie, podług obyczajów, poślubioną swemu małżonkowi; wiemy, że od chwili, kiedy owdowiała, oddawała się filantropji i znacznej pracy społecznej. Któż ją może za to potępić? któż może odrzucić czyjaś ofiarę dlatego tylko, że o nim ktoś jakieś nieokreślone i niedowiedzione rozsiewa pogłoski.

A zresztą przypuścmy, że to, co mówi pan Seweryn, jest prawdą; przypuścmy, że istotnie zmarła była jakiś czas kapłanką Afrodyty. Była nią Aspazja, Kleopatra, Małgorzata z Nawary, Lukrecja Borgia, Djana de Poitiers i wiele najświetniejszych kobiet, co tworzyły historję. Jeżeli doszła do tak wysokiego stanowiska, widać, że była genjuszem w swoim rodzaju. Była uciechą życia niejednemu zrozpaczonemu; była jego rozkoszą, uśmiechem, radością... Nie wolno jej potępiać. Jeżeli przytem kilku głupców straciło majątek, życie i sumienie — to trudno. Napewno ci głupi zginęliby podobnie na siedem innych sposobów.

Weźmy teraz tę samą sprawę ze stanowiska społecznego. Świat nasz tak jest urządzony, że musi być część kobiet prostytutek, aby inne mogły być uczciwe. Ktoś nie śpi, aby ktoś mógł spać! Ktoś grzeszy, aby ktoś mógł nie grzeszyć. Kobieta potępiona — ześrodkowuje w sobie, akumuluje niejako potencjalne grzechy kobiet uczciwych, grzechy naszych żon i córek. Ona jest poprostu tarczą innych kobiet — ona się dla nich poświęca. Mówicie, potępiona? Nie — ofiara. Nietylko religja, ale rozum poprostu, głębsze wnikięcie w zawily labirynt fenomenów społecz-

nych — nakazują przebaczyć Marji Magdalenie. Kto bez grzechu, niech pierwszy na nią rzuci kamieniem. Panie Sewerynie, podnieś kamień.

Oto, com chciał rzec, a nakoniec dodam słowo — niby cyniczne, ale mądre słowo Wespazjanowskie. Panowie, pieniądz nie ma zapachu, albo raczej wszelki pieniądz pachnie źle: tak poucza ekonomja nowoczesna. Do czego dąży ewolucja powszechna ustrojów nowożytnych? Do rzeczy ostatecznej: do zniesienia pieniędzy. Pieniądze umarłej — mówicie — pochodzą ze złego źródła; ale skąd pochodziły pieniądze, które ona zogniskowała u siebie? Pewno z również nieczystego źródła? Skąd pochodzą nasze własne dochody? Zbadajmy sumiennie... I tu raz jeszcze powiem: kto jest bez grzechu... Panowie, Wespazjan mówił: nie wachajmy pieniędzy. Stawiam wniosek: nie odrzucajmy zapisu Leokadij Dunoyer.

— Brawo, brawo! — Grzmot oklasków, wobec których oklaski mowy Seweryna były szeptem.

Seweryn czuł, że entuzjazm był na sali większy. Dokoła niego robiła się pustka. Jeżeli miał zwolenników, to ich liczba ogromnie zmalała. Chciał jeszcze coś mówić, ale się zawahał i tylko poprosił o głosowanie.

Wniosek Seweryna upadł większością 73 głosów przeciw 7.

Rzecz osobliwa. Seweryn poczuł nagle tajemną ulgę, jak gdyby cieszył się z upadku własnego wniosku, choć zewnątrz wydawało mu się, że właśnie pragnął zwycięstwa. Bądź jak bądź, mowa jego była majestatyczna i szlachetna.

— Nędzne dusze! — mówił do siebie. — Nikt mię nie rozumiał. Mniejszość tylko miałem za sobą. Zawsze wysokie myśli są tłumom niedostępne. I tak zbyt wiele głosów było za mną... Gdyby nikt! Sam jeden przeciw wszystkim — to piękne!

Zaczął znów przechadzać się po pokoju i rozmyślać nad mową Miziorka. Był istotnie zbyt zawzięty na Leokadję.

Prawda, że stracił przez nią majątek, ale kto wie, czyby mu ten majątek przyniósł korzyść. Ostatecznie żył, nie zginął; poznał życie, co jest najtrudniejsze ze wszystkiego; dorobił się stanowiska, skromnego co prawda, ale bądź jak bądź — ludzie go szanowali. Ona zaś — była, jak wiele kobiet tego samego rodzaju, a życie jej udało się lepiej, niż jemu. Trudno, stało się. Był wówczas bardzo młody i niedoświadczony: nie on pierwszy i nie ostatni.

Z drugiej strony ten zapis — to przecież jego własne 30.000 rubli. Czy nie możnaby tak pokierować sprawą, aby one w całości wróciły do niego. Dowieść tego? niepodobna. Wszelkiej zasady prawdy — brak. Jego pieniądze gdzieś się rozplynęły, a to był zupełnie inny kapitał — kto wie czyj — może poprostu majątek wdowy po pułkowniku.

A jednak, czy właściwie nie należy mu się — jeżeli nie wszystko, to przynajmniej część? Oczywiście nie wielka część, ale, dajmy na to, połowa, trzecia część, dziesiąta... Nie, i tego nie można... Jedyna forma uzyskania części tej sumy — to pożyczka, a Towarzystwo nigdy nie udziela pożyczek wyższych nad 1000 rubli.

Zaczął teraz marzyć: tysiąc rubli mając, można by pojechać do Szwajcarii, do Włoch...

A więc...

Ostatecznie wniosek jego został odrzucony. Byłoby dzieciństwem trwać w opozycji!

Siadł przy biurku i napisał:

„Do Szanownego Zarządu T. S. B. Upraszam najmniejszym, aby Sz. Zarząd zechciał udzielić mi sumy

rubli 1000 (tysiąc) na potrzeby osobiste z kapitałów, zapisanych przez czcigodną i szlachetną panią Leokadję Dunoyer".

Postanowił list wysłać z samego rana do sekretarza Towarzystwa, tak iż na posiedzeniu wieczornem będzie mógł już mieć odpowiedź.

SCHADZKA.

Kiedy na człowieka czyha nieszczęście, to już ze wszystkich stron. Nigdy może ta prawda nie dała mi się tak we znaki, jak wczoraj. Zdawałoby się, że jakieś złowrogie bóstwo wyteżyło wszystkie swoje siły, aby mnie zgniebić do szczętu.

A było to tak. Pewien bardzo tkliwy stosunek łączy mnie z panną Iloną Serblay, z pochodzenia wiedeńską, która obecnie zajmuje stanowisko nauczycielki u państwa Mirkowskich. Bywam czasami w tym domu, gdyż Mirkowski — to mój dawny kolega szkolny.

U nich też zapoznałem się z Ilką. Później spotkałem ją kilkakrotnie na ulicy; bywała już to z dziećmi, już bez dzieci. Ostatecznie takeśmy sobie przypadli do gustu, że zaczęliśmy sobie naznaczać poza-programowe godziny spotkań w Ogrodzie Botanicznym, na Powązkach, albo na dworcu kolei Wiedeńskiej.

Opisywać Ilki nie będę. Była to czarowna wiedeńska, pół-kotka, pół-dziecko, pieszczotliwa, dobra, naiwna i zuchwała zarazem. Lubiła muzykę, lody, czekoladę i czerwone wstążki. Mieszają się w niej różne rasy, składające ludność wiedeńską: oficjalnie była Niemką, ale miała w sobie więcej krwi węgierskiej, kroackiej, rumuńskiej i ormiańskiej, niż niemieckiej — i ta mieszanina tworzyła typ bardzo oryginalny, ognisty i pełen życia.

Bardzośmy się polubili — i tylko wyznaję, że niebardzo byłem pewny co do swoich zamiarów, gdyż chwiała się one wciąż — i bywały czasem wielce poważne, a czasem wielce niepoważne.

Dość powiedzieć, że dwa dni temu posłałem jej pocztą miejską list następujący (aby nas nie rozumiano, korespondowaliśmy po węgiersku):

— *Legedesb lelkem! Ked. Hat órakor — Bécs paljaudivaron. Csokolom. Széretlek.*

Poczem następował zygzak, oznaczający moje nazwisko.

W przekładzie list ten powiada:

— Najśodsza duszo moja! Wtorek — o godzinie szóstej — na dworcu Wiedeńskim. Całuję ciebie. Kocham ciebie.

Była to już czwarta nasza schadzka. Trzy poprzednie trwały po dwie godziny — i w sercu mem pozostawiły rozkoszne wspomnienie.

Trzeba pamiętać, że Ilona musiała bardzo dyplomatycznie zachowywać się u państwa Mirkowskich, gdyż bardzo dbała o pozory i nie chciała narażać swej opinii. To też pierwsi naszemu romansowi rozwijało się powoli i wśród tysiąca niebezpieczeństw.

Pomimo przeszkód niesłychanych, pierwsze nasze spotkanie cudownie się udały. Mniej więcej raz na tydzień. Za pierwszym razem przyniosła mi heljotrop, za drugim — tuberozę, za trzecim różę herbacianą. Ale czwarta — wczorajsza schadzka! Bogowie, jakie popełniłem grzechy, żeście mnie tak pokarali!

Siedziałem w domu i kończyłem artykuł do „Korkardy”. Była godzina kwadrans na szóstą. Miałem zamiar na dwadzieścia przed szóstą wyjść z domu. Robota moja była gotowa. Zacząłem więc powoli się kostjumować, aby być gotowym do walki o tę godzinę szczęścia. Miałem zamiar wyjść zaraz i wstąpić gdzie na koniak.

Naraz zadzwoniono. Otwieram: wchodzi pan Jerzy N. ze swą olbrzymią małżonką — oboje ludzie najmiłsi, ale tak nie w porę...

— A bodajecie zapadli się w ziemię — pomyślałem w duchu, zarazem głośno mówiąc:

— Co za miła niespodzianka! Jakżem szczęśliwy! Czemuż mam przypisać ten zaszczyt?

Jako nieżonaty, bardzo rzadko bywałem rewizytowany, zwłaszcza przez panie. Sądziłem, że musiało zajść coś ważnego.

— Proszę, niech pani pozwoli! — Chciałem zdjąć burnus pani Jerzowej, ale ta, kołyszac małą główkę na wielkim korpusie, świegotliwym głosem rzecze:

— Dziękuję panu. My tylko na minutę...

Odetchnąłem. Spojrzałem potajemnie na zegarek: wpół do szóstej.

— Panie Walery — uroczyście zwróciła się do mnie pani Jerzowa — przychodzimy tu do pana, a właściwie ja przychodzę w pańskim interesie. Rzecz nieodwołalna: żenię pana z panną Klementyną. Jutro będzie u nas obiad — musi pan być koniecznie...

Omało com nie chwycił rewolweru do ręki.

— Klementyna — obiad — jutro — muszę być.

— Już — już nieprzytomny! Olśniony! Kocha się... Dawno już to przeczuwałam...

— Ja też się domyślałem — basem śmiać się począł pan Jerzy, który obok swej żony wyglądał jak przecinek. — I radzę, żeń się — żeń co prędzej... Klimcia — powiem panu do tchu — ma 15.000 rubli. Ale pan może kochać się bezinteresownie...

— Proszę cię, Jerzy, przestań! Nie rozumiesz zupełnie uczucia. Trywialnie stawiasz całą kwestję. Cóż pan powie, panie Walery?

— Kiedy ja nie wiem. Ja wcale nie kocham tej panny — nie mam zamiaru się żenić.

— Cóż to znowu? Czemu pan ukrywa swoje

uczucia? To nieładnie. Może to niedelikatnie wdziierać się w tajemnice pańskiego serca, ale my tacy panu życzliwi.

— Bardzo życzliwi — podchwycił Jerzy.

— Nie przeszkadzaj, Jerzy.

— My coś wiemy o panu... (Co oni wiedzą? Ilka?)

Pan Klimci nieraz dawał do poznania...

— Nigdy w życiu — nie przypominam sobie — zaprzeczam temu (pięć minut po wpół do szóstej).

— Ależ jaki pan dziwnie rozstrojony! Boże, ci zakochani! Przecież my jesteśmy panu życzliwi. Taką żona — to skarb, prawdziwy skarb...

— Zapewne, skarb!

— A no, widzi pan! Pierwszy raz jestem u pana i od razu widać — kawaler! (Niepodobna wyrazić, ile pogardy było w tem słowie). Kto panu robi porządki? Stróżka, czy przychodząca? Zresztą to wszystko jedno. Kurz na meblach, pokój źle zamieciony, pajęczyna na suficie, lampa zakupcona, łóżko nie posłane, jak należy... A tu na biurku — popiół, kruszyny, szmatki papieru, stearyna! Co za bezład! Nie, mój panie, pan powinien się ożenić...

— Może — może.

— Zresztą nie będę już nic o tem mówiła, bo widzę, jakby to pana żenowało... Ale (z przymileniem) we czwartek pan u nas będzie?

— Nie odmawiam — z przyjemnością. (Dziesięć po wpół do szóstej! A bodaj was pokrećiło!)

— A co pan sądzi o ostatniej powieści Arbuza?

— Genjalna! cudowna! nadzwyczajna!

— Pan chyba żartuje. Przecież to wprost upadek talentu, rzecz bardzo słaba.

— Istotnie. Dzieło kretyna — *ramolli* — idjota! (Zamorduję!) Zresztą nie czytałem.

— A to niechże pan tak mówi. Ja pozwalam sobie mieć o tej powieści takie zdanie (i tu zaczęła mi

szeroko wykladać swą opinię o tej książce, potrącając przytem o teatr, wojnę japońską, wybory, Zakopane i inne stacje klimatyczne Europy, rozmaite gatunki miłości, literaturę modernistyczną i t. d.). Ale zdaje się, że pan dziś szczególnie rozdrażniony. Może pan zajęty, a my panu czas zabieramy... A chciałam jeszcze pomówić o ostatniej wystawie (za pięć szósta!...)...

Najsłodszy głośm, na jaki mogłem się zdobyć, odparłem:

— Prawdziwe szczęście to dla mnie, że mnie państwo zaszczytliwi swą wizytą, ale istotnie mam przed sobą ważną konferencję — i muszę iść tam na t y c h m i a s t (podkreślone).

Musiąłem wyglądać bardzo zabawnie, bo państwo Jerzowie zaczęli się serdecznie śmiać i, przepraszając za zabrany czas, pożegnali się ze mną.

Skwapliwie im otworzyłem drzwi i odetchnąłem swobodnie. Natychmiast też dokończyłem tualety i pobiegłem w stronę dworca Wiedeńskiego.

Po drodze oczy moje zatrzymała wystawa składu cukierków i czekolady. Zacząłem się jej przyglądać. Kupię coś dla Ilony — ona lubi cukierki.

Witryna sklepowa świeciła od różnobarwnych pudełek i figur z czekolady: lalek w sukienkach z bibuły, piesków i królików, od słoików maku czerwonego, białego i zielonego.

Wraz ze mną tej samej wystawie przyglądało się dwoje dzieci: dziewczynka w niebieskiej sukience i bosy chłopczyk w podartych majtkach marynarskich. Przyglądali się figurkom, jako najpiękniejszym dziełom łakomej sztuki.

Dziewczynka mówiła:

— Taką lalkę chciałabym mieć.

A chłopiec:

— Ja wolałbym konika!

Serce moje tak ukochało w tej chwili całą ludz-

kość (nawet państwu Jerzym przebaczyłem), że zamierzałem już i tym dzieciom kupić figurki czekoladowe, gdy zdarzył się niespodziewany wypadek.

Nie zauważyliśmy, że oprócz nas jeszcze jedna istota stała koło witryny sklepowej. Był to pies, z rasy małych buldogów, którego oczy naiwne i dobrodusze tworzyły zabawny kontrast z okrutnym wyrazem mordy, zbrojnej w mocne, białe, wystające namiętną żęby. Stał tuż koło mnie i przyglądał się nie wiem czemu; raczej dzieciom lub mnie, niż wystawie.

Nie zwracałem na niego uwagi, gdyż milczał, sapiąc tylko pocichu, a ja całą duszę umieściłem w czekoladzie.

Naraz — najniespodziewaniej — poczułem ostre żęby buldoga, który — zdradziecko a milczkiem ugryzł mnie w łydkę tak, że poczułem dotkliwy ból. Odwróciłem się, a złośliwy pies zaczął gwałtownie szczekać, aż dzieci przestraszone uciekły. Ja zaś mimowoli spojrzałem w ukąszone miejsce i, o *horror!* spodnie moje były tam misternie podarte w formie prostokątnego trójkąta; na wierzchołku kąta leżała kropla nagle zastygłej krwi.

Pierwsza moja myśl była, że to pies wściekły, i że zgine od straszliwej, nieludzkiej choroby.

Nigdzie dziś — chyba u znachorów na głębokiej wsi — nie dostanie k o b r y!

Co tu robić? Do doktora! Ale na Boga — już minuta po szóstej! Odłożyłem to na później: mogę przeczekać sześć godzin, bo dopiero po takim czasie trucizna działa. Tymczasowo — rzecz z departamentu spraw zewnętrznych — ale bardzo ważna: trzeba przyprowadzić garderobę do porządku.

Siadam do dorożki.

— Hoża, Nr. X. do Szymona.

Szymon — był to dyrektor pośpiesznego zakładu reparacyjnego; w oka mgnieniu ci tam poprawiano

braki odzieży, czyszczone, myto, prane, szyte, serowano. Wychodziłeś odświeżony.

Przyjeżdżamy. Mały pokoik dla klientów, dalej kontuar, a za nim laboratorium.

— Panie Szymonie! Wściekły pies mnie pokąsał (Szymon się cofnął) i rozdarł mi ubranie. W minutę proszę poprawić...

— Hm! proszę — niech pan tam siada (umieścił mnie za kontuarem) — niech pan z łaski swojej zdejmie „dolne”. Dziękuję. *Eins, zwei, drei* — będzie gotowe.

Za kontuarem siedziałem, jak w klatce. Szymon zamknął drzwi. Widać, już mnie uważa za wściekłego.

Czekałem, rozmyślając nad sobą. Czy pies był wściekły, czy nie? A nuż to było poprostu jakieś mistyczne *advertissement*. To czarostwo Klementynyl! Za nic się z nią nie ożenię! Obejrzałem pokąsaną miejscę: cztery plamy czarno-czerwone.

Dziesięć minut po szóstej! A jeżeli to był pies wściekły, jeżeli wobec Ilki usta mi się zaczną pieniść, jak to bywa przy wściekłości, jeżeli ją pokąsam i pogryzę — o Boże, jaka przyszłość mnie czeka!

— Panie Szymonie! Prędeż.

Szymon przeze drzwi:

— Zaraz, panie, zaraz! (Nie chce wejść do izby).
Wszystko się *galante* robi.

Po jakimś czasie (dwanaście po szóstej) podaje mi znów przeze drzwi pantalon. Istotnie, ani śla lu rozdarcia.

Mistrz, bo mistrz! Cerownik — genjusz! Michel Angelo sztucznej reparacji odzieży!

Ale boi się mnie. Nie chce wejść do pokoju. Muszę coś mieć na twarzy chorobliwego.

Ubieram się, zostawiam rubla i grobowym głosem mówię:

— Kwadrans na siódmą! Do widzenia.

Znów siadam do dorożki. Ośmnaście minut po szóstej.

Jestem na dworcu. Pewno już jej niema! Wpadam do sali — wypatruję oczy — ludzi potrącam. Jakas otyła dama półgłosem szepcze: Ordynarjusz! Nie zwracam uwagi. Przeglądam każdą z sal po kolei. Niema jej — oczywiście obrażona poszła do domu. A może powróci. Zauważywszy, że mnie niema, udała się może na miasto za jakim sprawunkiem — i oto lada chwila powróci...

Błądę znowu po sali — wprost impertynencko przyglądam się każdej kobiecie — od siedmioletnich do pięćdziesięcioletnich... Kto wie? może się przebrała: kobiety lubią tajemniczość.

Przez dwadzieścia pięć minut maszerując tam i z powrotem, zrobiłem ze trzy kilometry drogi. Jej niema i niema! Przez ten czas dwa razy na dworcu rozwijał się wielki ruch: dzwonienie, krzyk odzwiernego: do Skierniewic, do Piotrkowa, do Łodzi, do Częstochowy, do Granicy, do Sosnowca — i znów dzwonek i znów wołanie: do Skierniewic, do Łowicza, do Włocławka, do Aleksandrowa. Tłumy ludzi pchały się ku wyjściu, tragarze nosili kosze i walizy, lokomotywa świszczała i ryczała, pociąg ruszał. Sala była chwilę pusta, ale wnet ją zapełniali nowi ludzie. Tylko jej jednej niema i niema. A we mnie, czuję już, jak działa *virus* wściekliczny. Szczęki mi się krzywią — czuję to — nienaturalnie!

Nienawisć moja do państwa Jerzych, do buldoga i do Klementyny zwłaszcza zaczęła przybierać groźne rozmiary.

Ilka pewnie myśli, że ją zdradził, a przecież niema wierniejszego serca, jak moje — w tej chwili.

Wyszedłem na platformę od strony miasta, aby spojrzeć, czy nie idzie!

Nie, nie idzie!

Spojrzałem na zegar, który od wewnętrznego światła czerwienił się na wieży dworca. Dziesięć do siódmej!

Nie przyjdzie. Zacząłem teraz błądzić po chodniku — zapędziłem się nawet w Marszałkowską; niemasz nadziei!

Poszła do domu — ona, tak skrepowana — oczywiście niezadowolona ze mnie. Teraz już czekam tylko na jej list: zerwanie. Jakże drogą stała mi się nagle ta utracona na wieki! Jakże moje zamiary względem niej stały się poważne, głębokie, uroczyste!

Siódma uderzyła, jak dzwon pogrzebowy. *Lasziate ogni speranza!* Robi mi się gorąco i zimno; oczy bielmem zachodzą; zębami dzwonię, gryzę własne wargi. Jestem otruty, wściekły, zgubiony! Jedno mi pozostało: jechać do doktora Szyrwida, który leczy chorych na wścieklicznę.

— Doktorze, ratuj! Wściekły pies mnie pokąsał.

Doktor zaczął się ranom przyglądać i długo się nie mógł zdecydować.

— Nie, panie, to rana bardzo niewinna! Pogryzł pana zły, ale zdrowy pies. To samo przejdzie, tylko myć kwasem solnym.

Zacząłem z wielkiej radości całować doktora.

— Wybawco, mistrzu kochany!

Przynajmniej od tej zgrozy losy mnie zachowały. Było to więc jedynie czarostwo Klementyny.

Uspokoilem się nieco. Wypiłem parę szklanek herbaty z dobrym koniakiem i postanowiłem o wpół do dziewiątej iść do Mirkowskich, aby się zobaczyć z Iloną.

Chciałem ją naprzód przeprosić, ale po chwili zmieniłem plan. Postanowiłem przeciwnie wystąpić jako pokrzywdzony, z wyrzutami... (To lepsza metoda). Przewidywałem jeszcze małą komedię wobec Mirkowskich: niby to na preferansu przychodzę.

Męża nie było w domu. Pani Mirkowska przyjęła mnie bardzo życzliwie, ze zwykłym wyrzutem, że tak rzadko bywam...

— Ależ pragnąłbym jak najczęściej... Zajęcia — praca... Człowiek wiecznie w kieracie. (Ilony niema. Czemu jeszcze nie przyszła?).

— Zapewne, zapewne. Ale nie należy zapominać przyjaciół. I dzieci nasze tak pana lubią! Michaś naprzykład chce być literatem i ciągle myśli o panu, a Józio nie może zapomnieć tego konia, co mu pan dał kiedyś na imieniny, choć koń już połamany... Ale najzabawniejsza jest Wandzia — bo chce, żeby pan był jej „żon“ — tak w panu zakochana... Ciągle tylko mówi: Walelek — Walelek!

— Nigdy człowiek nie przeczuwa, z której strony szczęście płynie... (Ilony ciągle niema).

— Muszę też panu tajemnicę powiedzieć! (Coś o niej). Michaś (nie, nie o niej) napisał powieść: straszny kryminał! Trzeba panu wiedzieć, że choć on ma dopiero trzynasty rok — jest to chłopiec nad wiek rozwinięty... Czyta dużo, a najwięcej lubi Mayne-Ride'a, Ponson du Terrail'a i Montépin'a. Chciałby też pisać okropne awantury. Muszę panu w sekrecie pokazać tę powieść, bo inaczej Michaś rozgniewałby się na mnie. Wie pan, co za ciekawe pomysły! A pisze o miłości, to umierać ze śmiechu. Tam jest na przykład jedna margrabina...

Rozległ się odgłos dzwonka. Przyszła Ilona; przyszła jednak nie sama: odprowadziła ją służąca od Szternów, u których Ilona wieczorami udzielała lekcji języka niemieckiego. Ale nie wracała nigdy tak późno. Cóż więc to znaczyło?

Spojrzelśmy na siebie. Ukłon z oddali. Była zmieszana. Zarumieniła się.

Dlaczego przychodzi tak późno? Blisko wpół do

dziesiątej. Sprawa nieczysta. A może jej odrazu powiedzieć tak, jak to radzi Chamfort:

— Pani! wiem o wszystkim. Przebaczam ci i żegnam.

Wbiegły dzieci, hałaśliwie witając Ilone. Józio kochał ją bardzo, niemniej jak i Wandzia, ale ta już była w łóżeczku. Michaś natomiast przyglądał się jej ponurym i jakby podejrzliwym wzrokiem.

Czyżby ten malec kochał się w Ilonie? Zastanowiło mię to wielce. Bywają takie wypadki. Serce nieraz budzi się wcześniej. Ja sam, mając lat czternaście, kochałem się w matce jednego z moich kolegów: była to miłość, pełna cierpienia i czaru. O, gdyby człowiek dziś tak umiał kochać i cierpieć, jak wtedy. Może też ją podejrzewa, może też jest na nią oburzony?

Po tych powitaniach Ilona z dziećmi poszła do innego pokoju, i słyszałem tam dosyć gwałną rozmowę, w której przeważał głos Michasia i Ilony... Cóż to za tajemnica? Z pomieszanych głosów trudno było coś wyrozumieć... Można było tylko odgadnąć, że Ilona się gniewa, że jest na coś oburzona... Michaś z początku coś odpowiadał zuchwale, potem się sumiował i coś jej dyszkantem tłumaczył...

Siedziałem, jak na szpilkach, słuchając półuchem pani Mirkowskiej, a półuchem gwaru w sąsiedniej izbie...

Nagle dał się słyszeć śmiech Ilony, szeroki, srebrny śmiech, jak kryształowa kaskada!...

Wbiegła potem do pokoju, jak sarna, a jej rozpuszczone złote włosy i błękitna, jedwabna bluza przy szafirowej spódnicy — nadawały jej pozór istnej nimfy, roześmianej jakąś niebiańską wesołością.

Mimowoli podziwiałem umiejętność życiową Ilony: na stanowisku guwernatki cudzoziemki umiała ona tak politykować, że zachowywała się w domu, jak oso-

ba należąca do rodziny, nigdy jednak nie przekraczając właściwego tonu. Trzeba też przyznać, że Mirkowsky byli to bardzo dobrzy ludzie.

A gdy pani Izabela pytała, co znaczy ten śmiech, Ilona zaczęła opowiadać nadzwyczajną historję, której część była — jak to czytelnik odgadnie — dla mnie tylko przeznaczoną i zrozumiałą.

— Wyobraźcie sobie — mówiła Ilona przez pół po niemiecku, a przez pół po polsku — co mi ten Michaś dziś zrobił. Byłam poprostu przerażona i bałam się do domu powracać. Od godziny szóstej do ósmej mam lekcje u Szternów. Wychodzę tedy we właściwym czasie — i, mimowoli się odwróciwszy, widzę, jak za mną idzie dwóch chłopców z tego domu, jeden lat ośmiu, drugi — dziesięciu. Nie zwróciłam na to uwagi. Idę dalej — i przy skręcie na dworzec Wiedeński znów się odwracam: chłopcy za mną. Ponieważ chciałam sobie nastawić zegarek, weszłam na dworzec, aby go uregulować podług zegara kolejowego. Była prawie szósta: brakło paru minut. Wstąpiłam jeszcze kupić gazetę. Prawie o szóstej wyszłam na platformę od strony miasta i znów zobaczyłam tych chłopców. Myślałam już, czy zostać na dworcu, czy wracać do domu, czy też iść na lekcję, bo mnie te chłopcy bardzo niepokoiły. Ostatecznie poszłam do Szternów przez ulicę Wielką do Hożej. Odwróciłam się koło Hożej, znnowu te łobuzy szły za mną. Jakieś szpiegi, czy coś podobnego. Bardzo się bałam. Ktoś widać im kazał mnie śledzić — i ci krok w krok za mną. Byłam szczęśliwa, kiedy się znalazła w mieszkaniu Szternów. O, jakże mi serce biło z trwogi. Co to jest? Jakaś tajemnicza ręka rozciągnęła nade mną swą władzę.

Lekcję odbyłam dość nerwowo, a kiedy o godzinie ósmej pożegnałam Szternów i znalazłam się na uli-

cy — patrzcie! znnowu te dwa chłopcy stoją przed bramą i przyglądają mi się tajemniczo.

— Czego wy chcecie? — zapytałam — że tu ciągle za mną chodzą.

— Nie możemy powiedzieć! — odparli.

— Was ist das? Co za sekret? Idźcie sobie precz, fort! — powiedziałam, ale oni nie ruszyli się z miejsca, tylko ten mały powiedział starszemu:

— Kupimy sobie bułek, bo jestem głodny.

Więc ja wróciłam na górę, a już zaczynało się robić ciemno i latarnie zapalono. Powiedziałam pani Sztern, co mi się przytrafiło, a ona nie chciała mnie puścić do domu, aż dopiero, kiedy chłopcy precz sobie pójdą! O dziewiątej wieczorem rzeczywiście już znikli; widać ich zmęczyło to długie oczekiwanie. Wtedy dopiero wróciłam z Kasią i całą drogę myślałam nad tem, co to ma znaczyć? Czy to jakiś zazdrosny, zakochany pan, czy też policja mnie śledzi? Nic nie rozumiałam. I nareszcie Michaś mi tę sprawę wytłumaczył.

Było tak (tu Michaś aż się cały rozpromienił, jakby miał teraz następować hymn pochwalny na jego cześć): Michaś czytał jakąś okropną powieść Conan Doyle'a o jednym panu Lecoq, czy coś takiego, który zorganizował bandę ludzi, aby śledzić wszystkich swoich znajomych i wiedzieć o nich wszystko, co tylko wiedzieć można. Ludzie ci nazywali się Czerwone Walety, czy też Złota Szajka, już nie pamiętam. Owóż muszę panu powiedzieć, że Michaś sam pisze takie okropności i przytem chciał naśladować Lecoq'a. Więc naprzód chciał się dowiedzieć o mnie. Zawołał tych dwóch chłopców z naszego podwórka i dał każdemu po sześć groszy, mówiąc:

— Idźcie za tą panią krok w krok, śledźcie ją, co robi, gdzie się zatrzymuje, dokąd wchodzi, z kim się wita, z kim rozmawia i t. d., a potem mi to wszystko

opowiecie. — Nakazał im tajemnicę: właściwie nawet niewolno im było z nikim rozmawiać, choć pod tym względem chłopcy nie wytrzymali.

Słowem Michaś chciał, jak Lecoq, mieć swoją szajkę i chciał sobie stworzyć osobliwą służbę wywiadowczą. Tak mnie przestraszył, że nie mogę wypowiedzieć.

— Przyznam ci się, mój Michasiu — rzekła mama — że mi się to niebardzo podoba. W naszej rodzinie nie było agentów policyjnych.

— Ale ja tylko do powieści, proszę mamy — mówił zaczerwieniony Michaś. — Ja już tego nie zrobię.

— Mam nadzieję — zauważyłem nie całkiem bezinteresownie, podziwiając jednakże w duchu tę nową metodę zbierania materiału do powieści.

Niefortunny bywa czasem wtorek. A gdy bogowie chcą ci uczynić krzywdę, patrz! jakich wybierają sobie pośredników. Srodze mi dopieklili dzisiaj: ile kłęk w jeden dzień.

Przyszedł Michał i wraz z panią Izabelą zasiedliśmy do preferansa. Była potem wieczera. Dostałem osobliwy *sandwich* ze serem szwajcarskim, wyciętym w litery *Cs. hat*. Zrozumiałem: czwartek, szósta.

Przysiągłem sobie, że w ten dzień o wpół do piątej już mnie w domu nie będzie.

Z panną Klementyną żenić się ani myślę, a na obiad do państwa Jerzych pójść nie pójdę. Wytłumaczę się listownie jakimśbądź kłamstwem, co mi zresztą uda się bez wielkiej trudności.

POJEDNANIE.

Ostatnia scena, jaką miałem z Emilją, spowodowała zerwanie, jak mi się zdawało, ostateczne. W gruncie przyczyna była błaha.

Przeczytaliśmy w dzienniku wiadomość, że piękna p. Irena K. wyszła za mąż. Znaliśmy ją oboje — i zacząłem wychwalać jej osobę: jej piękność, inteligencję, dobroć, szlachetność. W Emilji naraz zbudziła się nieokreślona zazdrość i zrobiła mi gwałtowną scenę, a że miałem właśnie rozmaite przykrości i byłem nieco rozdrażniony, zacząłem jej również czynić wyrzuty z powodu różnych momentów jej niewłaściwego zachowania. Mała ta burza tak jednak oddziaływała na mnie, że postanowiłem z Emilją zerwać na zawsze, przeczuwając, że przygoda dzisiejsza jest wróżbą i postacją całego naszego życia w przyszłości.

Pożegnaliśmy się zimno — i opuściłem jej dom, aby już tu więcej nie powrócić. — Byłem — po tem zerwaniu — nie tyle smutny, ile raczej zły na samego siebie. Popełniłem cały szereg błędów i czułem do siebie żal za popełnione błędy. Rozważałem je teraz poszczególnie i mimowoli wszystko to rosło mi w wyobraźni do niesłychanych rozmiarów; w gruncie całe jej wystąpienie nie świadczyło o niej ujemnie. Coraz bardziej chwytalem samego siebie na grzechu „niedorzeczności”; bo jeżeli Emilja z nieuzasadnionej zazdrości uczyniła mi gwałtowną scenę, to ja powi-

nieniem był właśnie zachować się z lodowatym spokojem; tymczasem ja, w rozdrażnieniu, postawiłem jej rozmaite zarzuty i wkońcu przypomniałem sobie jedno nazwisko, które jej w twarz cisnąłem:

— A Łacki?

Nic mi nie odpowiedziała; i jeżeli — jak mi wiadomo — dla Emilji zerwanie to było nader przykre, to znowu ja, przekonany nawet, że z nią zerwał niezupełnie słusznie, miałem to jedno imię — Łacki — jako pierwiastek racji dostatecznej.

Wiem, że gdybym tylko jedno słowo powiedział, wszystkoby wróciło do dawnego stanu; ale się uparł — i postanowiłem znajomość z Emilją uważać za umarłe *plusquamperfectum*.

— Nigdy! — takem powiedział i jej i sobie, kiedy ją widział po raz ostatni.

A jednak byłem ciągle pełen wspomnień o Emilji, wspomnień, które mą duszę ze wszech stron oplatały, tak, że ledwiem oczy zamykał, już mi niewiadomo skąd wypływała jej twarz, jakby rozżalona, piękna, złotym, gęstym oplecioną włosom i te usta, tyle razy całowane i jeszcze pocałunków spragnione. Czasami te usta przybierały wyraz drwiący, gdy oczy były zażawione; czasami naodwrot oczy się śmiały, ale usta były niewymownie smutne.

A jednak sam sobie zakazałem iść za tem widmem, co mnie ku sobie wzywało. Postanowiłem szukać zapomnienia, oszołomić się, upić czy oszaleć...

Zwłaszcza pewnego razu obudziła się we mnie szczególna chęć, aby iść na maskaradę. Pięć tygodni minęło już od tej sceny — i zaczynał się karnawał.

Pewnego ranka był u mnie Michał Z., gorliwy bywalec wszelkich zabaw publicznych — i powiedział mi:

— Byłem wczoraj na maskaradzie. Zbliżyła się do mnie maska, która mi tak powiedziała: Ty znasz Stanisława B. Powiedz mu zatem, że Emilja jest na

niego bardzo rozżalona, że ją opuścił tak nagle, bez wyjaśnienia.

— Bez wyjaśnienia! — zawołałem. — Wyjaśnienie tu niepotrzebne. Ona wie doskonale, dlaczego to się stało. I cóż dalej owa maska?

— Owa maska zniknęła i odeszła. Ale w parę chwil potem inna maska zbliżyła się do mnie i rzekła: Jeżeli zobaczysz p. Stanisława — to powiedz, że mu Łacki się kłania.

— Łacki! toż ironja bezczelna — to wyzwanie umyślane!

Tak się nazywał człowiek, o którym nic pewnego nie wiedziałem, ale którego raz zastałem u Emilji. Właśnie miał wychodzić; widziałem go w przedpokoju; była szara godzina i nie mogłem dobrze rozróżnić jego twarzy. Ale zapamiętałem nazwisko; co ten człowiek robił u Emilji — nie wiem; był to podobno administrator jakiegoś majątku w Lubelskiem, gdzie Emilja miała pewne sumy.

Tak mi mówiła Emilja i nie miałem żadnego powodu wątpić o prawdziwości jej słów. Nie podobało mi się tylko, że go Emilja przyjmuje prawie pociemku; jakiś czas milczałem o tem, lub dalekie ironiczne aluzje na ten temat robiłem; nakoniec owego wieczora rzuciłem jej w twarz to nazwisko — i wyszedłem. Jeżeli nieznaną maską naraz to samo nazwisko wspomniła — i to natychmiast po słowach drugiej maski, która mówiła o Emilji; to znaczy, że pomiędzy jedną a drugą osobą istniał jakiś związek i że coś w tem było. Ale co? I gdzie znaleźć tego Łackiego, aby rzecz wyjaśnił?

Postanowiłem tegoż wieczora iść na maskaradę — w sali Włoskiej, gdzie właśnie Michał Z. miał owe dwa tajemnicze spotkania.

O ile mi było wiadomo, Łacki nie mieszkał w Warszawie; jeżeli jednak o nim wspomniano, to znaczy,

że musiał przyjechać. Prawda, że właściwie ani Emilja ani ten jakiś Łacki nic mię nie obchodzi; że to jest daleka umarła przeszłość: ale, bądź-jak-bądź, gniew mój przeciw temu człowiekowi albo raczej przeciw samemu sobie — dręczył mię nieustannie i domagał się zaspokojenia. Postanowiłem w jakikolwiek sposób znaleźć Łackiego i należycie się z nim rozmówić.

Trzeba szczególnego zdarzenia, że tego wieczora znalazłem w Kurjerze, w rubryce „Osobiste” wiadomość: Pan Hieronim Cezary Łacki przybył do Warszawy.

Oczywiście, nie mógł to być inny Łacki, tylko ten, o którym mówiła maska. Jakaś znakomitość. Nawet Kurjer wspomina o jego przyjeździe do Warszawy, jako o ważnem zdarzeniu. Człowiek sławny — to dla kobiety zawsze coś nęcącego. Niewątpliwie od czasu tej znajomości zachowanie się Emilji względem mnie zupełnie się zmieniło. Teraz widzę to wszystko jasno i dokładnie. Człowiek sławny i bogaty — opętał ją bardziej niż ja, mało sławny i mało bogaty. Dowiadywałem się o Łackiego na mieście. Łaccy — jest to rodzina liczna, na różnych stanowiskach, zamieszkała w różnych okolicach kraju.

Ale kto jest Cezary Hieronim?

— Jeden z najzamożniejszych obywateli w swoim powiecie. Delegat Towarzystwa Kredytowego Ziemińskiego w N., prezes Towarz. meljoracyjnego, założyciel cukrowni w K. i t. d.

Słowem figura. Muszę się z nim zobaczyć. Muszę z nim pomówić na serjo. Muszę go kategorycznie zapytać, dlaczego, jakim prawem i w jakich zamiarach bywał u Emilji.

Ale może to nie on? — Trzeba rzecz zbadać dokładnie. Zawołałem posłańca miejskiego i, obiecawszy mu trzy ruble nagrody, dałem mu zlecenie, aby ob-

szedł wszystkie główne hotele warszawskie i aby się dowiedział, gdzie mieszka Łacki.

Po tych wszystkich rozmyślaniach i czynach przebrałem się odpowiednio i poszedłem na maskaradę. Rozumiałem, że jakaś intryga przeciw mnie się knuje — i, sądząc z tego, co mi mówił wczoraj mój znajomy, przypuszczałem, że i dziś kogoś spotkam, co może w dalszym ciągu rozwinie te same motywy, które wczoraj jemu przedstawiono.

Sala oświetlona a giorno brzmiała skoczną melodją walców i polek, matsziszów i cake-walków, które wygrywała orkiestra. Tłumy ludzi, najosobliwiej poprzybieranych w kolorowe, fantastyczne suknie — krążyły po sali, hałasując, śpiewając, pokrzykując, tańcząc; między niemi mężczyźni w czarnych frakach.

Cała ta zabawa zresztą mało mię interesowała; głównie zajmowało mię, kto się do mnie zbliży i co tajemniczego mi powie.

Jak to jednak bywa najczęściej, doznałem zawodu. Jakaś maseczka, Colombina, zbliżyła się do mnie, mówiąc:

— Zapomniałeś o mnie, niewdzięczniku! Pamiętasz — Zakopane?...

W tej chwili ją poznałem; była to mała aktoreczka, z którą żyłem w przyjaźni przez parę tygodni. Parę słów z nią pogadałem; wypiliśmy parę koniaków — i pożegnaliśmy się, wspominając dawne czasy.

Znowu stanąłem w pozycji oczekiwania, gdy inna maska, Krakowianka, powiedziała mi wprost, bez żadnych omówień:

— Postawisz kolację?

Napróżno czekałem do trzeciej rano. Nikt z woli własnej nie zbliżył się do mnie — i nikt mi nie powiedział nic ze strony Emilji lub kogo innego.

Wypiłem parę kieliszków madery i poszedłem do domu, niezadowolony z siebie i jeszcze bardziej pełen gniewu na Łackiego.

Rano o godzinie ósmej obudził mię posłaniec, który wczoraj wieczorem szukał po hotelach warszawskich mego nieprzyjaciela. Znalazł wkońcu jego nazwisko w hotelu Saskim, ale już od dwóch dni go nie było; siedział tydzień i wyjechał do siebie.

— Dokąd?

— Do Skalisk, w Lubelskiem, stacja Rejowiec...

A więc w Lubelskiem, a więc Rejowiec. Właśnie te same punkty, do których zwykle docierała Emilja... Sąsiad, mniej lub więcej bliski; znali się od dziecka; pewnie byli w zażyłości; ukrywała przede mną wszystko.

Hieronim Cezary! Oczywiście nikt inny, tylko on... Ślad nieomylny, dowód niezaprzeczony... Sherlock Holmes inaczejby sprawy nie prowadził.

Śledzić jednak nie myślę; chcę postępować jawnie i otwarcie.

Otóż mogę się dowiedzieć o tem wszystkim jedynie bezpośrednio od Łackiego — i nie mam innego sposobu, tylko pojechać do niego. Tą drogą zrozumieć, co łączy go z Emilją; dlaczego on mi każe się kłaniać, ona zaś przesyła mi jakieś sentymentalne nakazy w sposób tajemniczy — za maską. — Cała więc sprawa moja w chwili obecnej polega na tem: pojechać do Skalisk pod Rejowcem.

Jeżeli wyjadę pociągiem wieczornym, będę na miejscu koło siódmej rano; godzinę — dwie wypocznę; końmi dojadę na miejsce koło wpół do dziesiątej. Jakoż tak postąpiłem. Wziąłem ze sobą rewolwer w przypuszczeniu, że będzie mi istotnie potrzebny; przewidywałem dramat. Emilja oczywiście była te-

raz dla mnie przedmiotem obojętnym, dalekim, ale mi szło o zaspokojenie obrażonej miłości własnej: nie mogłem dopuścić, aby choć w przeszłości — z moją wiedzą — jakiś cień padał na mój stosunek z Emilją.

We dwa dni po maskaradzie wyruszyłem koleją Nadwiślańską w stronę Rejowca. Nie mogłem usnąć; coraz inne widziadła przerywały mi niespokojną drzemkę: jużem widział nieznanomego mi zresztą jak dotychczas — przeciwnika, który oto pada od mojej kuli i wyznaje mi prawdę: tak, on ją kochał i ona jego kochała!

...Albo znów naodwrot: ja ginę — i szlachetnie mu przebaczam, nakazując tylko, aby wykonał swe obowiązki względem Emilji.

Albo strzelamy jednocześnie — obaj jednakowo celnie — i jeden drugiego przebija kulą na wylot; umierając, podajemy sobie dłonie... Emilja rozpacza i żałuje za grzechy...

Ostatecznie doszedłem do wniosku, że wszystkie te myśli tylko mnie niepotrzebnie drażnią — i postanowiłem czemś postronnem oderwać swoją myśl od tej sprawy. Zacząłem sobie powtarzać w pamięci wszystkie paragrafy kodeksu, dotyczące osób, które utraciły dokumenty, stwierdzające ich tożsamość.

To mię znakomicie uspokoiło, ale gdym dojechał do Rejowca, byłem tą bezsensną nocą tak zmordowany, że choć godzinę chciałem się przespać. Jakoż zaszedłem do pobliskiej, koło dworca, gospody — gdzie położyłem się do łóżka, ale zamiast godziny spałem do południa. Posiliwszy się nieco, dopiero o godzinie pierwszej wyruszyłem do Skalisk.

Mróz był siarczysty, a moje futro, dość chude, chroniło mię od zimna niedostatecznie. Ze stoicyzmem jednak znosiłem te przykrości: czekała mię bowiem sowita nagroda.

Śnieg był dobry, droga gładka. W wynajętych saniach szybko sunęliśmy naprzód, pomimo lekkiej zadymki, która nam prószyla w oczy. Woźnica mój, którego rozpytywałem o Łackiego, nie mógł się dosyć nachwalić.

— Pan dostojny, szlachetny, szczodry, uczony i t. d.

Słowem cnoty w najlepszym doborze.

— Tak, tak — mówiłem sobie — to musiało nastąpić. — Poczem dodałem głośno: — A do Burzanów stąd daleko?

— Jak prostą drogą, to za cztery godzinyby trafił; ale tak zwyczajnie — to blisko dziesięć godzin.

— A pan Skaliski czy bywa u państwa Burzańskich?

— Dokumentnie tego ja nie wiem.

Ale oto już jesteśmy blisko. Wkraczamy we wrota, objeżdżamy wkoło na dziedzińcu klomb, na którym liczne słomiane chochoły świadczą o obfitości róż w lecie tu przed dworem — i stajemy przed pięknym murowanym gmachem.

Służący wychodzi i pomaga mi wysiąść; ręce i nogi mam tak przemarznęte, że ledwie ruszać się mogę. Wchodzę do przedpokoju, gdzie zdejmuję palto i futro — i gdzie zaczynam wkońcu miłe ciepło odczuwać, idące od obfitych drzew, płonących w wielkim kominie.

Podaję służącemu kartę i proszę o jej oddanie gospodarzowi.

Gospodarz, mężczyzna lat trzydziestu kilku, w swobodnym zimowym kostjumie domowym, bacznie mi się przygląda (pewnie mnie zna) i pyta z wyszukaną (aż zanadto) grzecznością:

— Czem mogę panu służyć?

Jeszcze nieco przemarznęty, czuję, jak ciepło

zwolna rozgrzewa moje ciało i robi mi się nad wyraz przyjemnie; chciałbym przez wdzięczność gospodarza uścisnąć, ale sytuacja nie pozwala.

— Przybywam tu w sprawie dyskretnej, osobistej — mówię głosem, jeszcze nieco ochrypiałym z zimna — ale pełnym powagi. — Czy mogę pana prosić o dziesięć minut rozmowy?

— Służę — rzekł gospodarz, prowadząc mnie przez gabinet swój do sąsiedniego pokoju, zapewne kancelarji, sądząc z gromady ksiąg gospodarskich, kluczy, szpicrut, kijów, latarek i t. d.

Przechodząc przez gabinet, ukłoniłem się zdaleka trzem panom, którzy siedzieli przy zielonym stoliku i pewnie z gospodarzem grali w winta. Widocznie grę przerwałem.

— Czem mogę panu być użyteczny? — rzekł gospodarz... — Ale przedtem — dodał — pan jest zdrowy, możeby pan się napił czego gorącego? może pan zechciałby co zjeść?

Jeszcze nie skończył mówić, a już drzwi się otworzyły i służący wniósł tacę z herbatą, koniakiem, przekąskami.

Nie jadłem nic, ale na herbatę i koniak rzuciłem się chciwie — i niemal jednym łykiem ją wypilem.

Gospodarz przeprosił mię, że pali cygaro, na co mu dałem absolucję, poczem sam zapaliłem papierosa — i, rozgrzany wewnątrz herbatą i koniakiem, przytem opanowawszy emocję, jaką czułem wobec swego przedsięwzięcia, rzekłem:

— Sprawa moja ma charakter czysto honorowy. Parę miesięcy temu spotkałem się z panem u pewnej damy. Pan mię nie pamięta i ja również twarzą pańskiej sobie nie przypominam, gdwz właśnie pan wychodził, a w przedpokoju było ciemno. Nie reagowałem odrazu dla powodów, których wyluszczać tu nie-

ma potrzeby — i dopiero teraz, po rozważeniu wszystkich okoliczności, zdecydowałem się przybyć tu do pana. Wiem, że pan niedawno był w Warszawie, że pan stał ośm dni w hotelu Saskim i wkońcu o pańskiej osobie w sposób ironiczny zawiadomiony zostałem na maskaradzie przez tajemniczą, nieznaną mi kobietę w masce; czy ta osoba działała z pańskiej woli czy też z woli własnej, nie wiem. W każdym razie zgodzi się pan, że nie mogę pozwolić na to, aby być pośmiewiskiem ludzkim. Sprawa ta najściślej wiąże się z moim honorem — i nie mogę takiego faktu pozostawić bez zadośćuczynienia — przeto pozwoliłem sobie przybyć do Sz. Pana po wyjaśnienie. Dziękując za gościnne przyjęcie, proszę zarazem, aby mi pan wytłumaczył, na jakiej zasadzie pan był u tej damy owego wieczora i co pan tam robił?

— Nie zwykłem zdawać sprawy nikomu ze swoich czynności. Wybacz pan, ale żadnych objaśnień dać mu nie mogę. Jeżeli byłem tam, gdzie pan mówi, to niewątpliwie wizyta moja musiała mieć charakter zgodny z koniecznością rzeczy.

— Słowa te są niejasne i zagadkowe, a które dowodzą niezbitnie, że moja osoba była tam na szwank narażona. Ponieważ pan najzupełniej moje przypuszczenia stwierdził, przeto sądzę, że nie jest rzeczą niewłaściwą, jeżeli od pana zażądam satysfakcji.

— Jeżeli satysfakcja zdaje się panu rzeczą konieczną, nie odmawiam. Proszę tylko określić czas i proszę mi przysłać świadków dla omówienia warunków.

— Czas — natychmiast; warunki pozwolę sobie określić sam: odległość, kroków ile pan zechce, w każdym razie jak najmniej; broń — pistolety, trzy strzały. Co do świadków, nie znam tu nikogo, ale ufam panu całkowicie i możemy śmiało — jak szlachcice hiszpańscy, strzelać się bez świadków.

— Musi być przynajmniej lekarz, a że właśnie mam tu gości, a między nimi doktor z sąsiedniego miasta, przeto pan wybacz, że go na chwilę opuszczę i pomówię z doktorem oraz innymi panami.

— Proszę bardzo — rzekłem, kłaniając się panu Łackiemu — i przez jaki kwadrans czasu siedziałem sam. Śledząc uważnie dym papierosa, rozmyślałem nad całym szeregiem tych zdarzeń, a chociaż były to zdarzenia przykre, to jednak czułem pewną dumę, że w sposób tak łatwy i pewny odkrył utajonego wroga i rywala.

Po kwadransie czterech panowie weszli do kancelarii. Przedstawili się, mrużąc jakieś niewyraźne dźwięki: M... N... Z...

Ten ostatni był lekarzem; był to winciarz zapalony — i jeździł zwykle po sąsiadach z narzędziami — na wszelki wypadek, gdyby go oderwano od winta.

Po prezentacji Łacki rzekł:

— Jakkolwiek nie jest to całkowicie *en règle*, panowie ci zgadzają się na proponowane przez pana warunki. Pan N. gotów jest nawet panu służyć za świadka, gdy pan M. będzie moim. Jako miejsce wybierzemy oranżerję w parku, gdzie jest i jasno i podłoga równa i obszar dostateczny. Czy pan ma pistolety, czy też pan zgadza się na moje?

— Zgadzam się na wszystkie propozycje — odparłem, wielce ujęty gentlemenerją mego przeciwnika.

Park, obejmujący z górą trzy morgi gruntu, sąsiadował z dworem ze strony wielkiej sali; miał on zarówno dobrze wyciągnięte aleje, jakoteż gęstwiny i dąbrowy, jak wreszcie polany.

Godzina była już trzecia i pół — i, gdyby nie

białe puchy śniegu, które rozjaśniały krajobraz — możnaby rzec, że już zaczynało szarzeć.

Świadkowie ruszyli z nami — i skierowali nasze kroki w stronę wielkiej, szklanej, pokrytej hali, która na przyszły rok miała być przekształcona na cieplarnię; tymczasowo stała próżna, i tylko po kątach leżało tu różne żelaziwo, wapno, narzędzia ogrodnicze, wreszcie ogromna piramida żółto-czerwonych jabłek, które szerzyły dokoła nadzwyczaj upajający zapach.

Hala miała wzdłuż 80 kroków, wszerz 36. Świadkowie zastrzegli się, że nie dopuszczą mniej nad piętnaście kroków odległości.

Pan M., jako starszy, obliczył kroki i rozstawił nas podług swojej miary. Poczem zwrócił się do nas, abyśmy sobie rękę podali do zgody. Gdy zaś to nie nastąpiło, zimno-wzruszonym głosem rzekł:

— Bacność! Raz, dwa, trzy...

Padł strzał, ale obaj chybiliśmy; moja kula wpała w jabłka. Tosamo powtórzyło się za drugim strzałem. Wreszcie za trzecim razem Łącki trafił mnie w lewą nogę, w mięśnie biodrowe; o parę cali wyżej, a strzaskałby mi kość ischiadyczną. W pierwszej chwili nic nie czułem — i dopiero później ujrzałem krew płynącą, która się mieszała ze strzępami kortu.

Przybiegł doktor i zaczął badać sprawę. Kula poszarpała ciało tylko z wierzchu i spadła na podłogę. Rana nie była niebezpieczna, ale zapowiadała leżenie na jakie pięć dni.

Doktor zatamował krew natychmiast — i poczynił pierwsze zabiegi; ponieważ zaś chodzić mi było trudno, dwóch panów wzięło mię pod bary i odprawdzili do domu. Tu wyznaczono mi pokój; doktor kazał mi się rozebrać i położyć do łóżka, zapewniając, że za parę dni wszystko będzie w porządku.

Ściśle biorąc, z moim przeciwnikiem nie podaliśmy sobie ręki — i mnie przynajmniej sprawa tak się przedstawiała, że, skoro tylko wyzdrowieję — na nowo wyzwę Łąckiego.

Z drugiej strony wyznać muszę, że, choć pozszwankowany, czułem pewne zadowolenie, bo i długa jazda i cały ten epizod w Skaliskach spowodował znaczne wyładowanie mojej energii.

Doktor bardzo starannie zajął się moją raną; zdezynfekował ją, oporządził i obandażował jak należy. Po chwili przyniesiono mi buljon i wogóle posiłek, zgodny z poleceniami doktora. Poczem doktor wyszedł i życzył mi spokojnego snu.

Spałem cudownie, a nazajutrz rano zjawił się u mnie gospodarz, który nader życzliwie rozpytywał się o moje zdrowie; badał, czy jestem dobrze obsłużony, czy mi czego nie potrzeba. Przepraszał, że mię zranił, i jeszcze pytał, czy nie mam jakich rozkazów.

— Przedewszystkiem dziękuję za gościnność, a następnie pozwoli pan, że, skoro tylko wyzdrowieję, poproszę go o powtórzenie tej rozprawy.

— Nie mam nic przeciw temu — i w każdej chwili służyć panu będę. Ale pozwolę sobie zadać mu jedno niedyskretne pytanie. Wystąpienie pańskie — dodam — uważam za całkowicie uprawnione, w każdym razie ciekawość mię dręczy, jak pan przeniknął moją tajemnicę. Nawiasem mówiąc, dziś dopiero się dowiedziałem nazwiska osoby, którą kocham, i wielce za to jestem panu wdzięczny, gdyż może w ten sposób dojdziemy do porozumienia.

— Nic nie pojmuję?

— Jakim sposobem dowiedział się pan, że pańska żona...

— Moja żona? Kiedy ja nie mam żony...

— Jak to? — A więc — jeżeli wolno zapytać — o kogo się pan upomina w tej sprawie?

— O pannę Emilję B...

— O pannę Emilję B... z Burzanów?

— Pan ją zna?

— Ze słycho, ponieważ należy do znanej rodziny — ale osobiście nie mam zaszczytu — i nigdy jej nie widziałem.

— A więc właściwie — to ja niesłusznie wystąpiłem do pana z pretensją...

— W każdym razie żadnej winy nie mogło być z mojej strony.

— A zatem...

Pomimo bólu zacząłem się śmiać i podałem Łackiemu rękę.

— A zatem będę musiał szukać satysfakcji gdzieś indziej. Ale gdzie?... Nazwisko to samo...

Opowiedziałem mu całą sprawę od początku: wizytę Łackiego u Emilji, zerwanie, maskaradę, moje poszukiwania, decyzję ostateczną aż do chwili przyjazdu tu do Skalisk.

— Ale dlaczego pan tak odrazu się zgodził na moje wyzwanie? I co mi pan tu coś opowiadał — dziękował — — —

— Ponieważ widzę, że mam do czynienia z człowiekiem honorowym, więc *sub rosa* opowiem panu moją historję. Przed półrokiem jadąc z Kijowa do Warszawy, zapoznałem się z czarującą kobietą. Wiem o niej wszystko oprócz nazwiska. Korespondujemy *poste restante* — pod znakiem posiadacza pewnej monety bankowej numer taki a taki. Owóż wyznam, że oddawna chciałbym wiedzieć jej nazwisko, ale nie chcę prowadzić śledztwa, żeby jej nie skompromitować. Nie mogłem żadną miarą zbadać tej sprawy.

O ile wiem, mąż tej pani nie zna zupełnie jej tajemnicy. Sądziłem, że to właśnie on — i miałem szczerzy zamiar porozumieć się z panem w sprawie rozwodu lub czegoś w tym rodzaju. Żałuję bardzo, żeśmy obaj padli ofiarą pomyłki, a zwłaszcza pan...

— O, to bagatela — rzekłem i prosiłem czegoś gospodarza, aby się wywiadał, który Łacki jest zarządzającym jakiejś cukrowni, w której pani B. posiada kapitały.

Byłem już zupełnie uleczony, gdy po paru dniach zjawił się we dworze w Skaliskach jegomość, siwy jak gołąb, który mi się przypomniał, jako znajomy, i istotnie przemawiał głosem znajomym.

— Proszę pana dobrodzieja, a to niebo pana tu sprowadza. Bo to mama p. Emilji ma u nas w cukrowni kapitały i właśnie mam tu dla niej 1631 rb. i 17½ kop. Ja pana znam, bo pana kiedyś u niej widziałem, a właśnie mi pan Hieronim ze Skalisk pisze, że pan tu jest; to ja w te pędy do pana — i proszę się pokłonić ode mnie pannie Emilji do nówek, bo to ja przecie znam ją od małego dziecka, choć to była zawsze osóбка samowolna i uparta, oj, uparta, że niech Bóg broni.

— Taką też została — pomyślałem sobie.

Zapewniłem staruszką, że wszystko zrobię, co należy. Pani matce przesłałem ukłony.

Z gospodarzem wielce się zaprzyjaźniłem i obiecałem mu zbadać jego tajemnicę.

Przybywszy do Warszawy, natychmiast udałem się do Emilji, której wręczyłem pieniądze. Z początku byłem bardzo oficjalny, ale pod czarem jej osoby wszystkie lody pękły, a była dziś tak rozkoszna, jakby i mnie i siebie chciała wynagrodzić za te parę smutnych miesięcy. Po godzinie leżałem u jej nóg i błagałem o przebaczenie.

Ona to — jak mi wyznała — urządziła wraz z jedną ze swych przyjaciółek całą tę intrygę maskaradową — i umyślnie chciała mnie rozdrażnić tem nazwiskiem „Łacki“, choć nie przypuszczała, że cała rzecz zajdzie tak daleko. O mojej wyprawie doskonale wiedziała: ktoś jej ze Skalisk o tem wszystkim napisał.

Odwzajemniłem się panu Hieronimowi; dowiedziałem się nazwiska jego bezimiennej kochanki.

MELODRAMAT.

— Wy, moi panowie-literaci — mówił Okolicz, kierownik instytucji pod nazwą „Biuro powszechne“ — wy, moi panowie, grubo się łudzicie, jeżeli wam się zdaje, że naprawdę znacie to, co się zowie życiem. Wy znacie tylko niektóre linje życia i nic więcej... A kto chce naprawdę zgłębić życie, do mnie pójdź na naukę! Moje biuro — to mikrokosmos społeczności, esencja życia stolicy i całego kraju. Biuro moje dzieli się na 77 departamentów, obejmujących wszystkie dziedziny życia społecznego; otrzymuje dziennie po 500 listów z rozmaitych stron świata i widuję po 200 do 300 osób — ze wszystkich sfer ludności, od najwyższych do najniższych... Teraz pomyślcie, jak szerokie pole mam do studjowania tego zwierzęcia, które się zowie *homo*... Moje biuro to czatownia, z której widzę życie ze wszech stron, jak szerokie, szumiące morze... Niejedno bo też przesunęło się przed mojem okiem. Widziałem dramaty, jakichby żaden pisarz nie wymyślił. Nie wierzycie? Opowiem wam historję, która właśnie — że tak powiem — przeszła przez moje biuro. Gdybym umiał pisać, tobym wam napisał taką powieść, czy dramat, że poprostu włosyby czytelnikom stawały dęba! *Natri bromati* musieliby zażywać na uspokojenie. Prawdziwa tragedia. Uważajcie... Pewnego dnia przychodzi do mnie młodzieniec bardzo przystojny i sympatyczny: szuka posady za-

rządcy w gospodarstwie rolnem. Świadcstwa doskonałe: pracował przedtem w powiecie oborskim, w majątku Pożaryszcze, gdzie byli z niego bardzo zadowoleni. Dla spraw rodzinnych zmuszony był opuścić tę posadę — i szuka gdzieindziej. Jestem człowiek dyskretny, więc o tajemnice rodzinne pytać go nie chciałem, przekonany zresztą, że i tak się o nich dowiem. Właśnie zaś miałem dla niego świetną posadę.

— Doskonale pan trafił — mówię mu. — Była u mnie wczoraj pewna pani, poszukująca administratora majątku — koło czterdziestu wiók — pensja przyzwoita. Pójdzie pan na ulicę Hożą Nr. ab, do pani Leśniewskiej, gdzie obywatelka ta się zatrzymała. Zdaje się, że to również powiat oborski, więc gleba ta sama i warunki gospodarcze podobne. Majątek duży. Kultura wysoka. Proszę się pytać o siostrę pani Leśniewskiej.

Młodzieniec, nazwiskiem Jan Pawęża, wielce mi dziękował — i natychmiast udał się na ulicę Hożą. Co tam zaszło, nie wiem, ale nazajutrz, koło pierwszej południu, przychodzi do mnie pani Świętokrzyska, właśnie siostra pani Leśniewskiej, obywatelka z powiatu oborskiego, bardzo wzburzona — i tak mi powiada:

— A to ładnych urzędników pan mi przysyła! Czy pan wie, że ten człowiek chciał mię zamordować? Rzucił się na mnie, chciał mnie dusić!... Ledwie się wyrwałam. Stróża musiałam wezwać do pomocy.

Nic nie rozumiałem. Pawęża wydawał mi się człowiekiem bardzo przyzwoitym. Cóż więc go mogło skłonić do tego czynu? Zapytałem o to wręcz panią Świętokrzyską.

— A skądże ja mogę wiedzieć... Zdaje mi się, że to jakiś anarchista, albo poprostu warjat.

Mówiąc to, moja klientka była bardzo zmieszana. Miała czerwone wypieki na piegowatej twarzy,

a wodniste oko migało się tylko pod rudawą powieką. Gdyby była młodsza, mógłbym podejrzewać jakieś obłąkanie miłosne lub coś podobnego, ale moja dama liczyła napewno wyżej czterdziestu lat — i nawet śladów minionej piękności (jeżeli kiedykolwiek była piękna) — nie było znać na jej twarzy. Myslę, że ta kobieta nigdy ładną nie była; chuda i płaska, a przytem wysoka, miała jakiś ostry, niemiły wyraz twarzy, a wystające, duże, żółtawe zęby górnej szczęki nadały jej głowie charakter złośliwego buldoga. Nie będę mówił o jej kostjumie: drogie, jedwabne materje świadczyły zarówno o jej zamożności, jak złym smaku. Pstrokaczna kolorów — aż oczy bolały! Miała w sobie nadto coś denerwującego, właściwego histeryczkom: siedząc przy niej, odczuwałem jakiś fluid antypatyczny, który mię niepokoił. Tylu ludzi widywałem, tylu mogłem wytrzymać: jej nie byłem w możności znieść. Poprostu moje życzenie utajone było, aby ta baba poszła sobie precz...

Wkrótce też moje duszne marzenie spełniło się: prosiła o innego rządcę — bez skłonności do morderstwa — i wyniosła się... Ach, jak mi było lekko! Zacząłem nad tą sprawą rozmyślać. Jeżeli ja wobec tej kobiety powziąłem życzenie, aby się nagle znalazła o sto mil ode mnie — to może i ten człowiek... Zapewne, ale, spojrzawszy na nią, mógł on najspokojniej powiedzieć: do widzenia! — i koniec. Więc, jeżeli to prawda, cóż to mogło znaczyć?

Oczekiwałem Pawęży, ale więcej niż tydzień minął, zanim się ukazał. Był jakiś nieswój, markotny. Spokój, który, zdaje się, stanowił główną cechę jego charakteru — przeszedł w stan osobliwej tępoty. Nie chciałem go urazić nazbyt ostrem słowem.

— Co pan zrobił? — mówiłem łagodnie. — Ta pani skarżyła mi się tu na pana w sposób... niepojęty.

Podobno, że się pan wobec niej zachował tak... osobliwie. Co to ma znaczyć? Pani Świętokrzyska...

— O błagam, niech pan nie wymawia tego nazwiska! Gdybym był wiedział, że to ta kobieta, ta przeklęta, ohydna kobieta... Czemużem tam chodził? To djabeł wszystkiemu winien... Dlaczego mi pan nie powiedział z góry, jak się nazywa ta przeklęta?... Nie poszedłbym do niej, żadną miarą bym nie poszedł... Stało się wielkie nieszczęście...

Muszę zaznaczyć, że Pawęza ze stanu osepienia przeszedł nagle do gwałtownego podniecenia — i zaczął chodzić po pokoju szybkim krokiem tam i z powrotem, a w oczach mu zabłyśły szczególne ognie...

— Niech się pan na mnie nie gniewa — dodał znacznie spokojniej. — Ja panu niecałą prawdę powiedziałem. Tak, ale jakże miałem po świecie obnosić swój wstyd i nieszczęście?... Widzi pan (zaszeptał) — ja byłem półtora roku w domu obłąkanych; i to ja panu określiłem jako powody rodzinne... Bywają sprawy rodzinne — bardzo szczególne... bardzo... I wyleczyłem się, zupełnie wyleczyłem... Pan mnie widział: czy pan domyśliłby się, że ja jestem warjat? Doktor przy pożegnaniu mi powiedział: „Panie Janie, pan jest dziś zdrowszy ode mnie!” I to wszystko wie pan przez kogo (mocno ścisnął mnie za rękę)? Przez tę kobietę. I co za dziwne zdarzenie! Pan mię wysłał, do kogo? Do niej. Pierwsza osoba, którą zobaczyłem po wyjściu stamtąd. Czy pan rozumie (ach, żeby ten człowiek puścił już moją rękę!) — czy pan rozumie, co się ze mną stało, kiedy ją zobaczył? Oszalałem na nowo — do szczytu oszalałem. Rzuciłem się na nią — chciałem ją zamordować. Tak, to prawda. Ale szczęściem, że mnie wypędzili: stróż — bardzo mocny chłop — i drugi jakiś furman. Dopiero na ulicy wytrzeźwiałem, ale kiedy wróciłem do hotelu — straszna gorączka rzuciła mi się na mózg i całe ciało.

Byłem bliski delirjum. Sprowadzono doktora, a pewien znajomy zatelegrafował do matki... Moja dobra, święta, ukochana matka (tu ręce złożył, jak do modlitwy, wyzwalając mnie z kleszców) czuwała nade mną dzień i noc... Ostatecznie wyzdrowiałem, wróciłem do siebie... Jestem silnie wzruszony, ale zupełnie przytomny. Niech się pan na mnie nie gniewa. Już się to szaleństwo nie powtórzy. Praca mi potrzebna, praca mi konieczna. Tylko teraz będę musiał dokładnie znać nazwisko. Chcę wiedzieć, do kogo idę...

Dałem mu kilka nazwisk, przeprosiłem za omyłkę, żałowałem smutnego wypadku i cieszyłem się z jego wyzdrowienia. Odchodził ode mnie zupełnie uspokojony.

Nie chciałem go bliżej badać. Właściwie bardzo mało wyrozumiałem sprawę z opowiadania Pawęzy. Główna nić uchodziła mi z pod ręki. Co za tajemnica łączy młodego, pięknego mężczyznę z tą kobietą, dziwnie antypatyczną, starą i brzydka? Czy jaki romans przewrotny, czy nienawiści rodowe, czy sprawy polityczne albo rachunki pieniężne? To rzecz pewna, że się znali z sobą.

Zajmowałem się tem więcej nawet, niż mi pozwalały moje sprawy: tak, że miałem z tysiąc paraset nierozpieczętowanych listów. Ostatecznie jednak życie samo przeważało czysto teoretyczną sympatię do Pawęzy — i powoli o historii tej zapomniałem.

Minęły jakie dwa miesiące. Pawęza nie pokazywał się u mnie, listownie mi tylko doniósł, że wyjeżdża na Ukrainę — i przysłał mi należność.

Pewnego dnia woźny mi donosi, że jakaś starsza dama chce się ze mną zobaczyć na osobności. Poprosiłem ją do swego gabinetu. Weszła kobieta w żałobie, osłonięta welonem.

— Jestem Marja Pawężyna, matka Jana, który tu przez biuro pańskie szukał posady...

Sympatyczna, o regularnych rysach twarzy starszka miała oczy podsiniałe z płaczu, ale widać już jej łyzy skryształizowały się w jakąś cichą melancholję... Pytającem okiem patrzyłem na nią. Zrozumiała moje milczenie.

— Syn mój... Syn mój umarł... Zastrzelił się. Nie żyje. Miałam go jednego tylko na ziemi. Teraz już nie mam nikogo...

— Na miłość Boga, co się stało? Niezrozumiała dla mnie historia. Wybacz mi moje zaciekawienie. Szczerą życzliwość czułem dla pana Jana. Był u mnie kilka tygodni temu. Opowiadał mi dziwne rzeczy. Czyżby znowu ta kobieta?

— Nie, nie ta... Inna, ale przyczyna wszystkiego złego — to znów ta megięra... Nie mogę jej nazwać inaczej. Właśnie przyszłam do pana, żeby mu wszystko wyjaśnić. Zresztą, czuję potrzebę mówienia o nim. To mi ulży... Niech pan mi wybaczy, pan to zrozumie.

I oto nieszczęśliwa starszka opowiedziała mi taką historję.

Jan Paweża, — syn jej — był administratorem dóbr Pożaryszcze w powiecie oborskim.

Rozmówany w swej pracy, szeroko pojmując stanowisko rolnika, mało się oddawał zabawom i wywiadom o tem, co się dzieje w sąsiedztwie.

Matka mieszkała z nim razem, jako wdowa po właścicielu małego folwarku, który ich nie mógł wyżywić, tak, iż musieli pracować w obcym gospodarstwie. I ona również, pracą zajęta, mało co wiedziała o mieszkańcach powiatu. Okazało się wkońcu, że to bardzo źle — i że wiedzieć coś o bliższych i dalszych sąsiadach — rzeczą jest użyteczną i konieczną.

Smutna to nauka, ale zdarza się, że niewolno zatykać uszu na pogłoski, co krążą o ludziach... A zresztą życiem naszym kieruje raczej ślepy traf, niż jakabądź rozumna wola... Dlaczego w to życie spokoj-

ne, ciche, pracowite i czyste dwojga ludzi wdarła się nagle burzliwa, gwałtowna tragedia, która się zakończyła, musiała się zakończyć jak najżałobniej? Kto zrozumie, jaki był sens istotny tych przeznaczeń? Dlaczego stało się tak, a nie inaczej? Dlaczego *fatum* wybrało na swą ofiarę właśnie tego człowieka i to w chwili, kiedy jego życie miało się rozwinąć w najbujniejszy kwiat wieku męskiego?

Niemasz odpowiedzi. Wiele jest zagadek w życiu, wyższych nad wszelki rozum ludzki.

Paweżyna z Janem żyli tak oddani pracy gospodarskiej, a potem muzyce, czytaniu i zajęciom umysłowym, że nie wiedzieli nic o bardzo bliskich sąsiadach, o Świętokrzyskich, którzy siedzieli w Zielenicach, niedalej, jak pięć mil od Pożaryszcza. Stosunki zielenickie były szeroko znane mieszkańcom tutejszym, ale Paweżowie, którzy tu przybyli zaledwie rok temu — nic o tem nie wiedzieli.

Dopiero — po nieszczęściu — dowiedzieli się o wszystkim. Zapóźno. Gdyby ich ktokolwiek był uprzedził! Ludzie znali tajemnicę, a przypuszczali też, że i Paweża ją zna. Podejrzewali go o podłość i odrazu to podejrzenie uznali za prawdę. Kłamliwa przyzwoitość, wprost nieuczciwa grzeszność, kryjąca pod obojętnym uśmiechem zatajoną pogardę, nakazywały wszystkim spokojnie i pobłażliwie przyglądać się temu, co się stało.

W tem milczeniu powszechnem, kiedy właśnie należało krzyczeć jak najgłośniej, stała się rzecz straszliwa.

Musimy więc naprzód poznać, jakie były stosunki w domu Świętokrzyskich, w Zielenicach. Janusz Świętokrzyski był to niegdyś bardzo zamożny szlachcic, który w ciągu lat piętnastu, zanim doszedł czterdziestki, zrujnował się do szczętu, jedno mu tylko zostało: ożenić się bogato. Właśnie też w Zielenicach znale-

ziono mu pannę; była to osoba nad wyraz brzydka, ale zamożna. Posag jej liczone na pięć milionów złotych polskich. Jako przedmiot zapałów erotycznych przedstawiała się ona najfatalniej, a perspektywa współżycia z nią budziła w Januszu jakby dreszcz fizycznego wstępu. Ale nadewszystko lękał się nędzy i pracy.

Zreszta miał parę ładnych kochanek, w Warszawie i w Radomiu, nie licząc dziewcząt wiejskich.

Bywają takie typy ludzkie. Kobiety do niego lgnęły, jak muchy. Dlaczego nie wybrał sobie sympatycznej żony — niewiadomo. Był to w całym tego słowa znaczeniu piękny mężczyzna, ale dla jednych był już stary, u drugich szkodziła mu opinia: utraciwszy, bałamut, pijanica. Wreszcie były i takie, co chciały się poświęcić, ale znów miały posag zbyt drobny na zaspokojenie potrzeb staroego birbanta. Trudno było Januszowi znaleźć żonę i jedna tylko panna Elżbieta zaryzykowała. Była to osoba trzydziestoparoletnia, która, pomimo zamożności, napróżno czekała na męża.

To też skwapliwie przyjęła propozycję Janusza, który tę sprawę załatwił przez jakąś mądrą ciotkę. Elżbieta, bardzo łatwowierna i życiowo nie wrobiona, była z początku przekonana, że za swoje miliony kukuje sobie wiernego i wdzięcznego człowieka.

Jednakże wkrótce po ślubie Janusz się ujawnił: wcale nie myślał ukrywać swego wstępu względem niej i nieustannie ją dręczył ironicznymi uwagami o jej niedoborach cielesnych. Popłakiwała w kącie, przypuszczając, że jednak stosunki się jakoś ułożą. Tymczasem Janusz niemało czerpał z kasy żoninej; wyjeżdżając do swoich przyjaciółek, w te i owe strony, zniknął na parę tygodni z domu i powracał zawsze zbrojny w nowe sarkazmy i nowe sposoby torturowania biednej kobiety. Ta długo znosiła jego kaprysy,

ale wkońcu zaczęła mu się stawiać okoniem. Przede wszystkim nie dawała mu ani grosza; Janusz początkowo znalazł ludzi usługowych, którzy mu pożyczali na duży procent. Wkońcu Świętokrzyska ogłosiła w gazetach, że długów żadnych za swego męża płacić nie będzie. Odtąd stary hulaka był przytwierdzony do gruntu; nudził się w Zielenicach, z żoną nawet klócić mu się nie chciało, choć ta zrzędziła bez przerwy, stale podrażniona w złym humorze. On albo siedział całymi dniami w domu i układał pasjanse, albo do sąsiadów uciekał, albo włóczył się po folwarkach, szukając tam pocieszenia...

Trwało to póty, póki się nie znalazła jakaś bardzo piękna dziewczucha, która wywołała wielki przewrót w Zielenicach i miała stać się źródłem niesłychanych klęsk i nieszczęść.

Tereska miała na imię, a z ojca zwała się Gołębianka. Była z Zielenic, prosta chłopka, miała lat dwadzieścia, a ktoby na nią spojrział — myślałby: królewna. Czasem w zapadłej chacie taki się kwiat urodzi, co to raz na sto lat zakwita. Miała ona „złe oko” — to rzecz pewna. Nie było chłopca w Zielenicach, Olszynie, Strawnikach, Piaseczynie, Kurhanach, coby przez nią nie płakał z wielkiej miłości, co też, oczywiście, było przyczyną gorzkiego zmartwienia dziewcząt wiejskich.

Kiedy słowo powiedziała — to mimowoli każdy jej słuchał. Wszyscy ją uwielbiali, ale nie bez trwogi zbliżali się do niej. Nikt nie miał siły oprzeć się jej czarom. Była dotychczas panną i nikt nie miał odwagi zaproponować jej ślubów.

Z trzeciej wsi syn gospodarski przysłał do niej swatów: wyśmiała go — i tyle!

Miała wielkie ambicje i wysoko mierzyła. Janusz zapoznał się bliżej z Tereską, na którą oddawna już miał oko — i musiał jej nęcące poczynić obietnice, je-

żeli się zgodziła przyjąć stanowisko panny służącej w Zielenickim dworze. Sprawił jej piękne suknie i zachowywał się względem niej z wyszukaną galanterją. Tereska została kochanką Janusza, czego z początku Elżbieta się nie domyślała, choć zawsze czuła dziwną trwożę na widok tej pięknej dziewczyny.

Pewnego razu Elżbieta stwierdziła zdradę mężowską, zastawszy oboje w momencie konwersacji kryminalnej. Nastąpiła grzmiąca burza domowa. Elżbieta groziła dziewczynie, że ją przepędzi „na cztery wiatry”, ale tu stała się rzecz niespodziewana.

Tereska nietylko że się nie uległa swej pani, ale jak obrażona królowa powstała na nią i zaczęła z nią mówić tak właśnie, jakby to ona — Tereska — była pania, a Elżbieta — intruzem. I niewiadomo, jak to się stało, ale pod czarem „złego oka” Elżbieta się uległa i z największą pokorą zaczęła ją przeproszać, niewiedzieć dlaczego. Niepodobna tu opowiadać szczegółów. Po tej rewolucji domowej nastąpiła zmiana panowania. Prawie nazajutrz po tej przygodzie Teresa stała się panią domu, a Elżbieta zeszała do roli siugi i kucharki — i nie miała siły, by zmienić to położenie rzeczy. Ile razy sama buntowała się okrutnie, gorzko pomstowała — i przed klucznicą biadała na swoje położenie. Ale skoro tylko znalazła się w jej obecności — traciła śmiałość, była uległa i pokorna.

Tereska mówiła do niej: „ty”, wydawała dyspozycje, dotyczące gospodarstwa w domu i na polu, prowadziła rachunki, kierowała robotą ekonomów i karbowych; słowem, sama zaczęła administrować Zielenicami. Janusza też za łeb wzięła i teraz dopiero człowiek ten, który czterdzieści pięć lat życia przeproźnował, zmuszony był zabrać się na serjo do roboty, a jeżeli rozkazów nie wypełnił, groziły mu męczarnie Tantalowe...

Niedość tego. Teresa miała czas na wszystko;

kazała Elżbiecie, aby ta ją uczyła muzyki i francuskiego. Po roku nauka ta wydała świetne rezultaty: Teresa mówiła po francusku lepiej od Elżbiety, a do muzyki okazała niepospolite zdolności. Dużo, choć bezładnie, czytała; stąd i zowąd połapała różne wiadomości, kierowana przytem jakimś osobliwym instynktem, tak że mogła wybornie udawać osobę wykształconą.

Zdaje się, że Janusz obiecywał Teresie małżeństwo w razie śmierci żony: ale Elżbieta była to baba strasznie zdrowa; dziw poprostu, że nie miała dzieci.

Janusz i jego kochanka byli skrupowani tylko pod względem pieniężnym, gdyż — bądź-co-bądź — właścicielką majątku była Elżbieta, a choć Teresa, dzięki sprężystej administracji, zdobyła sobie pewne własne źródła dochodów, to jednak sumy te były szczupłe i panowanie Teresy było, koniec końców, połowiczne.

Elżbieta zaś ciągle rozmyślała, jakby się pozbyć tej dziewczyny. Zaproponowała jej posąg i małżeństwo z jakimś młodym człowiekiem, mającym przyszość przed sobą. Od pierwszej chwili wybrała sobie Elżbieta za ofiarę do tej intrygi — młodego Pawełę.

Znała jego szlachetność i łatwowierność i wiedziała, że on jest jedyny może człowiek w okolicy, który nie zna tajemnic zielenickich. I jego matka też nic nie wiedziała.

Pewnego razu zjawiała się w Pożaryszczu, gdzie czasami po sąsiedzku bywała, i tu poprosiła matkę z synem na poufną konferencję.

— Mam wychowanicę — mówiła — z pochodzenia włościankę, ale więcej wartą od byle szlachcianki. Bardzo wykształcona, dobrze wychowana, rządna, gospodarna, pracowita, oszczędna, rozumna — słowem, skarb. A przytem piękna, jak bogini. Kocham ją, jakby córkę rodzoną, jak siostrę wybraną i chciałabym ją wydać zamąż za uczciwego człowieka. Wiele

słyszałam o panu Janie i jego właśnie chciałabym widzieć mężem Tereski. Mam zamiar dać jej w dniu ślubu pięć tysięcy rubli posagu, na co mogę złożyć zobowiązanie piśmienne. W tym tygodniu jadę do Radomia; niech państwo tam przyjadą, to się młodzi zapoznają.

Pawężyna zgodziła się w zasadzie na ten projekt, a co do piśmiennego zobowiązania, to i słyszeć o tem nie chciała. Pojechali do Radomia i nadszedł dzień fatalny, w którym Jan poznał się z Teresą. Rzecz prosta, młody człowiek, naiwny i czysty, w jednej chwili uległ niepojętemu czarowi królowej. Trzeba dodać, że i on się podobał Teresie, może nie czuła dla niego miłości, jednak wyraźnie z nim sympatyzowała, a chwilami zdawała się jakby czemś zawstydzona i skrępowana i pogrążała się w milczeniu; ale Jan był tak rozmowny, że nie zwracał na to uwagi, a i samo jej milczenie stanowiło dla niego nowy urok dziewczyny.

— Trzeba było przedewszystkiem — mówiła Pawężyna — załatwić wszystkie formalności przedślubne, co trwało blisko pięć tygodni, aż nareszcie nadszedł dzień wesela, dzień straszliwy i przeklęty.

Ślub miał się odbyć w Radomiu, we środę. Wszyscy zatrzymaliśmy się w jednym hotelu. Tylko Janusz Świętokrzyski nie przyjechał.

Cały wtorek oboje państwo młodzi przepędzili jakby we śnie zaczarowanym, w oczekiwaniu jutra. Ja też, patrząc na nich, radowałam się samym ich urokiem: oboje byli dziwnie piękni i jakby przeznaczeni ku temu, aby utwalić wiarę w człowieka.

Pod wieczór tego dnia przyniesiono Elżbiecie telegram. Była szczególnie podniecona i uradowana wieścią, którą jej przynieśli. Nie chciałam jej rozpytywać, ale sama mnie objaśniła, że wygrała proces, który ją trapił oddawna.

Nazajutrz ślub się odbył i młodzi zamierzali odjechać do Pożaryszcza, póki nie minie termin służby Jana. Za pół roku chcieli się przenieść na własne gospodarstwo. Jan rachował, że za otrzymaną gotówkę dokupi kilka włók ziemi. Przepuszczałam, że Elżbieta wieczorem sumę wypłaci.

Tymczasem zauważyłam, że pani Świętokrzyska była od rana względem nas jakoś bardzo oziębła, a po ślubie natychmiast poszła do swego pokoju i zapowiedziała, że za godzinę wyjeżdża. Niezupełnie jasne było mi to zachowanie, ale nie miałam pretensji. Powiedziałam tylko Janowi, aby poszedł się z nią pożegnać i przy sposobności wspomniał o obietnicy.

Trudno mi było namówić syna do tego przypomnienia, gdyż był to zawsze człowiek wysoce delikatny, ale ostatecznie przystał na to. W gruncie rzeczy nie szło mu o posag, kochał szalenie Teresę; widział w niej bóstwo i nieskończoność, o pieniądzach poprostu zapomniał. O ileż lepiejby było, gdyby nie był poszedł do tej przeklętej!... Ja to zbłądziłam, ja go namówiłam. A zresztą — tak czy owak — źle to musiało się skończyć!

Już tak nam było w losach zapisane...

Ledwie wszedł do jej pokoju, Elżbieta już zdaleka wołała:

— Wiem, poco pan przyszedł! Wiem, ale grosza pan nie dostanie! Złamanego grosza! Figa!

Była to zupełnie inna Elżbieta: uszczęśliwiona furja, nie można jej nazwać inaczej.

— Ha! myśleliście, że już na wieki jestem w waszej niewoli? Bóg czuwał nade mną, Bóg się ulitował! Ten podły rozpustnik, ten nikczemnik Janusz nie żyje!

Wczoraj — na apopleksję — zmarł nagle — opilec, łajdaczysko! Djabli go wzięli, twoja to łaska, Panie Boże miłosierny!

Jestem wolna — oddycham, oddycham! Nie za-
leżę od nikogo: ani od niego, ani od tej ladacznej
dziewki, od tej wozgry!

Jan nic nie rozumiał...

— Nie wiesz niby, co to znaczy? Udajesz niewi-
niatko? Ha, ha! mądry spekulant z ciebie, komedję
grasz do końca. Nie wiesz, kto była Tereska? Fol-
warczna dziewczka, bazarka, kochanica mego męża, któ-
ra mi dom shańbiła i życie zatrała! Cztery lata sie-
działa u mnie, cztery lata! Chciałam się jej nareszcie
z domu pozbyć i zapłacić jej za to, przetom ją wydała
za takiego dudka, jak ty, mój miły spekulancie na swo-
ją i cudzą hańbę!...

Wszyscy o tem wiedzieli! a tybys nie wiedział?!...
Obiecałam ci pięć tysięcy rubli, ale teraz ten podlec
Janusz zdechtł, jak pies, a Tereska nic nie znaczy...
Ani feniga nie dostaniesz... A teraz fora ze dwora,
mam już was dosyć!...

Łatwo zrozumieć, co działo się w sercu Jana. Nie
szło mu o pieniądze, ale o to przerażające odkrycie,
dotyczące przeszłości Teresy. Wszyscy, wszyscy do-
koła milczeli, owszem, posądzali i nas o najbrudniej-
sze spekulacje!

Jan przyleciał do mnie, jak półoblakany. Mózg
mu się palił. Padł mi do nóg i płakał, jak dziecko.

Właśnie zaś weszła do mego pokoju Teresa —
i pytała, co to znaczy. Jan — beznadnie — powie-
dział jej wszystko, co usłyszał.

— Czy to prawda? — zapytał.

Teresa, na słowa Jana, czerwieniła i bladła na-
przemiań; o mało nie upadła bezsilna i zemdlna, chwi-
lowo źrenica jej łzami zaszała, a była w tej chwili pię-
kna, jak nigdy: bogini smutku i żalu... O, gdyby żal
wyraziła, jabym jej przebaczyła, bom ją ogromnie ko-
chała... I onby jej przebaczył!...

Ale jakiś bies się w niej zbudził.

— Ot — zachnęła się — nie zwracajcie głowy!
Co było, to było. Nieważna sprawa!

— Więc to prawda? Więc ty nie rozumiesz, co
to za ohyda?

— Zaraz ohyda! Jak ci się nie podoba, to ja mo-
gę sobie iść, a ty zostań! Poradzę sobie na świecie.
Do widzenia!

I poszła sobie, Bóg wie, dokąd. Nikt jej nie za-
trzymywał.

Jan całą noc gorączkował, a nazajutrz musiałam
go pomieścić w domu oblakanych. Półtora roku tam
siedział, aż nakoniec wyzdrowiał.

Myślałam, że nastaną lepsze czasy.

I rzecz dziwna, jakie losy mu były zapisane: bo
naprzód ta śmierć nagła Janusza w sam dzień ślubu,
potem nowe spotkanie z tą przekłętą, tak złośliwie
przez samego djabła przysposobione, i nowe jego
oblakanie...

A teraz nowe nieszczęście: przyjechał do Kijowa
w sprawach rozmaitych, niech pan sobie wyobrazi, ko-
go tam spotyka? Wchodzi na wieczerzę do restaura-
cji, a tam siedzi Teresa, wystrojona, wyfjokowana, wy-
różowana, w towarzystwie jakichś paniczów, pije
szampana, śmieje się, śpiewa, prowadzi bezecne roz-
mowy.

Niewątpliwie go poznała, niewątpliwie chciała go
umyślnie rozdrażnić...

Siedział tam, jak skamieniały, dziesięć minut...
Wrócił do hotelu i odebrał sobie życie...

— Nie mam teraz nikogo na ziemi — kończyła
staruszka.

— Byłem do głębi wzruszony — kończył swą mo-
wą Okolicz — tem opowiadaniem.

A teraz, niechże mi który z was, panowie literaci,
przyzna się, czy w sferze swoich znajomych ktokol-
wiek z was spotkałby się z takim splotem wypadków

fatalnych, przeznaczeniowych, nieprawdopodobnych?...
Czy spotkałby się z szeregiem natur tak prostych, tak
biorących życie na serjo, jednoliniźnie i głęboko? Czy
to nie dramat?

— Owszem, bardzo wzruszająca historia — od-
parł jeden ze słuchaczy, literat — ale to właściwie
wielki *fait divers*, melodramat...

— A jednak — zauważył drugi — jest tu rzeczy-
wiście mistyczny węzeł ślepego a bezlitosnego fatum.

KONIEC.



44103

TEGOŻ AUTORA WYSZŁY Z DRUKU KSIĄŻKI NASTĘPUJĄCE:

Uwaga. Gwiazdka * oznacza, że dzieło znajduje się w druku.
Druk **GROTESK** oznacza, że książka została świeżo
wydana.

POGRZEB SHELLEY'A. Poemat.

POEZJE. Część I.

POEZJE. Część II.

WYBÓR POEZYJ.

FRAGMENTA. Poezje wybrane.

ROZMYŚLANIA.

* ROZMYŚLANIA. Edycja II-ga, zmieniona.

POGROBOWCOM. Poemat (pod pseud. Napierski).

PIERWSZY DZIEŃ STWORZENIA. Pieśni społeczne.

XXVII SONETÓW. (Wydanie bezimienne).

ILJA MUROMIEC. Poemat.

TRZECI DZIEŃ. Wiersze z r. 1915 — 23.

POCAŁUNKI.

* GROTESKI. Wiersze ironiczne.

WENEDZI. Tragedja.

ATYLLA. Tragedja.

* MALCZEWSKI. Dramat.

KWIATY GRZECHU z Baudelaire'a.

POCAŁUNEK z de Banville'a.

PRZEKŁADY Z POETÓW OBCYCH. Dwa tomy.

SZEKSPIR. 1) Wieczór trzech króli. 2) Jak wam się podoba

(Edycja lwowska dzieł Szekspira. Tom VIII).

NAL I DAMAYANTI. Przekład z Sanskrytu.

SAVITRI. Przekład z Sanskrytu.

POECI HISZPAŃSCY. 1) J. Zorrilla: Don Juan. 2) R. Campoamor: Kobieta i mężczyzna czyli Licencjat Torraiba.
ITALJA. Antologia historyczna poezji włoskiej.
WĘGRY. Antologia historyczna poezji węgierskiej.
DYWAN WSCHODNI. Antologia poetów arabskich, perskich, indyjskich i innych.
SINTAISU-SHO. Poeci nowojapońscy.
EPOS: 1) Epos babiloński (Enuma Elisz).
2) Epos egipskie (Klechdy-Romanzero-Pentaur).
3) Epos indyjskie. I. Rāmāyana.
4) Epos indyjskie. II. Mahā-Bhārata.
* NOWE PRZEKŁADY.
ZBRODNIA. Opowiadania.
STYPA. Powieść.
W CZWARTYM WYMIARZE. Opowiadania fantastyczne.
W CZWARTYM WYMIARZE. Wydanie drugie.
ELFRYDA. Opowiadania.
MIRANDA. Powieść.
NOWY TARZAN. Opowiadania wesołe i niewesołe.
RÓŻA POLNA. Opowiadania.
DWIE BAJKI. Książka dla dzieci.
* MICHAŁKI. Opowiadania b. krótkie.

STUDJA Z LITERATURY FRANCUSKIEJ.
STUDJA I WRAŻENIA.
KSIĘGA SONETÓW POETÓW POLSKICH (Antologia).
LORD BYRON (pod pseud. A. Wrzesień).
LITERATURA PÓWSZECHNA (Książki dla wszystkich. 4 to-
miki).
WALKA Z ANALFABETYZMEM.
SPOŁECZEŃSTWO I HISTORJA W OŚWIETLENIU TEORJI
TARDE'A.
O MIESZCZAŃSTWIE podług Sombarta.
SEJM W PRZESZŁOŚCI I DZISIAJ.
WOODROW WILSON.
STANISŁAW STASZIC (pod pseud. A. Wrzesień).
* STUDJA ROMANTYCZNE.
* STUDJA Z LITERATUR OBCYCH.
* SZKICE MORALNO-POLITYCZNE.
* FANTAZJE ETYMOLOGICZNE.
